

# ZDROJ



*Drwutygodnik ilustrowany  
poświęcony Sztuce i Kulturze*

# ZDRÓJ

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

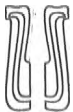
Przedstawicielstwo redakcyi na AUSTRO-WĘGRY: PROF. JAKÓB GESCHWIND, WIEN, (Hauptstr. 147).

**Prenumerata roczna** (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek  
**Zeszyt pojedynczy 3 marki.** — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

**OGŁOSZENIA:** Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

**ADMINISTRACYA** otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

**OD REDAKCYI:** Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczy się bez czytania. — **Redakcyja** nie wdaje się w dyskusye na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

W. SCHULTZ <sup>poleca</sup> W POZNANIU

Nowa ul. 8., w Bazarze.

Tel. 1484.

Rok założ. 1873.



## „Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia  
1873

w Poznaniu

Rok założenia  
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia na dożycie, na wypadek śmierci, na posag z rewizją lekarską i bez rewizyi

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie — od spłaty składek i płatność renty

Nizkie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się i w czasie wojny

Siedziba dyrekcji w Poznaniu w własnym gmachu św. Marcina 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31  
Agencye specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.

**Dotyczy** na przystępnych i dogodnych warunkach.

**Papieru wartościowe** jako pewna i korzystna lokacya kapitałów.

**Rachunki czekowe** z wielkimi dogodnościami dla wpłat i wypłat.

**Udziały członków** przynosiły 8 procent dywidendy.

**Wkładki i oszczędności** oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

**BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).**

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

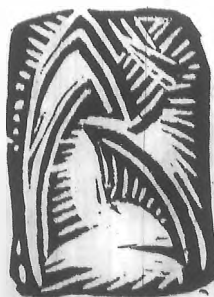
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Nieznane utwory Cyprjana Norwida — Dr. Zygmunt Mysłakowski (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Poeta a świat — Dr. Wacław Moraczewski (przyozdobił Władysław Jarocki). Posejdonia — Julia Dicksteinówna. Ucieczka — Adam Bederski. Genenda — Marya Bunikiewiczowa. U poetów — Miriam. Ogrodnik — Rabindranath Tagore — spolszczył Jan Kasprzewicz (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Anima mundi (fragment powieści) — Jadwiga Marcinowaka. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyt — Jerzy Hulewicz. Rozmowa (linoleodruk) — M. Kubicka.

## NIEZNANE UTWORY CYPRJANA NORWIDA.

1867. Czerwca, w tunizańskiej kawiarni  
na placu marsowym — Paryż.



koniec końców Ekspozycję zwiedzić należało — choćby tylko dlatego, iż widziałem był Londyńską, paryską i amerykańską w New-York, czyli, że widziałem wszystkie, jakie na świecie dotychczas [sic] były — mówię o Uniwersalnych Ekspozycjach.

I przyrzekłem sobie, że osobną o tem do Pani napiszę rzecz — albowiem zaprzeczyć niepodobna, iż Ekspozycja niniejsza, na Marsowym placu tu będąca, jest ze wszechmiar niepospolitym zjawiskiem i dziełem. Zaś, myślę, Panie tam nie mają doraźnych dziennikarskich sprawozdań, więc niebędzie to Paniom obojętne, jaką dzisiaj odbyłem podróż.

To wszelako, co piszę, jest jako owa księga kapitanów okrętowych, gdzie z wiernością godziną zapisywane bywają obrotы wiatrów i geograficzne podróży stopniowania. Systematycznie nie chciałem do tego się brać, z powodu, iż nateraz nie mogę się zaprzęgać i nie mam dość sił, aby zarazem nie szukać i odświeżenia także nerwów, w takową wybrawszy się podróż.

Podróżą zowie tę wycieczkę — jakże bo inaczej zwać elipsowy obieg p a n d u l i, przechodzącej przez wszystkie świata kraje? —

Gmach jest elipsą, a w niej coraz mniejszych elips, aż do środka, tyle, ile rodzajów prac i dzieł. Stąd, jako w Czyścju, Piekło lub Niebie starego D a n t a, wszystko porządnie i logicznie dokoła się obchodzi i płynnie się wszystko napotyka. Puścisz się ulipną sztuk piękną i zanotujesz w pamięci, skąd wyszedłeś, — a idąc przed się wrócisz jako p a n d u l a na punkt wyjścia i obiegiesz

wszystkie szkoły wszystkich społecznych ludów. Tak samo jest i z rękodzielami wszelakimi — tak samo jest jeszcze i nazewnątrz tego ogromnego gmachu z kawiarniami i restauracjami narodów.)

A dokoła onych kawiarni czyli przeto dokoła gmachu, jest ogrojec, z wysp szmaragdowych urobiony, a na każdej stoi budowla, przyniesiona z odległych globu powierzchni.

Wchodzę oto dziś jedną z bram i powiadam sobie, że obiegnę wyspy zielone: przybliżam się do jednej, na której niewielka stoi wieżyczka z oknami w koło — to Ewangelicznej propagandy wystawa. Wyczytawszy napisy nad oknami, przybliżam się do stosownego miejsca, a siedzący w oknie oby wateł ofiaruje mi małą książeczkę, z tymi słowy, na okładce różowej drukowanymi, w języku, w którym ten list piszę:

*Wierz w Pana Jezusa Chrystusa a będziesz zbawiony ty i dom twój.*

Odwracam kartę pierwszą i czytam dalej, w tymże matki mojej języku:

*List Ś-go Pawła Apostoła do Rzymian z greckiego języka na polski przetłomaczone* (zamiast: przetłomaczony, — ale też ta jedna tylko omyłka! — Zachowuję dla Pani tę książeczkę, ofiarowaną bezpłatnie. —)

Dalej o kroków kilka spostrzegam świątynię meksykańską — tę, gdzie krwawe ofiary słońcu wyrządzano. Dopełniona jest wprawdzie egipskimi pozostałościami i od wierzchu szklanymi szyby kryta (dla powodów klimatu, w którym nie narodziła się) ale za to na szybach spostrzegam... [wyraz nieczytelny] hieroglify z rękopismów znanych mi czerpane.

W środku ołtarz, gdzie wrywano serce człowiecze i w oryginale nóż kamienny, którym kapłan pod wiadomym zębem otwór czynił.

Meksykanie, pokazujący starożytności, sprzedają tu ananasowy napitek meksykański — rzecz, na cześć postępu, godna skosztowania w tak niegdyś krwawym miejscu! Ubrani są w narodowe stroje dzisiejsze — rodzaj szalów, umiejętnie przez ramię przerzuconych i kapelusze płaskie.

J. I. Kraszewski w ostatnim dziele swoim zarzuca mi publicznie „niepraktyczność“ — mnie? który w świątyni słońca piję likier!... —

Dalej! Oto i Chiny — najpraktyczniejszy lud na globie — i też zapewne dla tego na samym środku globu umieszczony. — U wrót pobiera piękny młodzieniec chiński cło od wnijsia — krzta się i ukazuje przeto piękność czarnego warkocza, szukającego pięt tam i owdzie.

Wchodzę do herbaciarni chińskiej, gdzie dwie piękne damy tego narodu siedzą — a nigdy dam chińskich nie widziałem, lubo mężczyzn dosyć i blisko miałem przyjemność spotykać. Panny te są piękne, tylko nazbyt bliźnięco-podobne wzajem, skutkiem czego rasę więcej niżeli osobistość się ogląda. Płeć tych dam podobna jest do bladej róży liścia świeżego a usta ich są jako czerwone wisznie. Smoczą naprzemian jedną fajkę z metalowego cybucha, który podają sobie rączkami drobnymi.

Ta, co palić przestaje, natychmiast gryzie coś drobnego jak maleńkie migdały — myślę, że to być muszą migdały niebieskie! —

Obie te panny w ruchach ich mają coś dzieci i coś białych królików — ale to są dziewczeczki piękne i nadające pytanie estetyczne niełatwe do rozwiązania, albowiem przy całej ich piękności mają linje oczów, i linje nosa, i skroń wypukłości właściwe wszystkim Chińczykom. Biorę tam cygaro jedno chińskie... niestety, poznaję, że portugalskie! (zapewne dla tego chińskie, iż z Chin przybyło.)

Zwiedzam inny pawilon osady chińskiej z mnóstwem znanych mi szczegółów; mijam znane, ale przesliczne ptaszki chińskie — w kłatkach szczebiocą coś, czego tu ucho niesłyszało; papużki jakieś maleńkie w przeslicznych barwach piór; owady i motyle chińskie dziwne... Stroje narodowe chińskie znane, oprócz stroju *wioślارza chińskiego*, który mię bardzo zajął. Jest to ubranie całe z trzcinowego liścia utkane, samodziół liściany, coś, sięgającego tradycją swą przedhistorycznych czasów i pierwotnego jakiegoś, porajskiego pokutnictwa — tak ubrany musiał się tułać gdzieś Kain...

A propos Kaina — oto i miecze katów chińskich, poszczerbione i rdzawe krwią — oto poplamione szmaty czerwonego ubrania i okowy napół zużyte — oto różne stopnie i stosowności bambusowych łóz ku smaganiu stosownie do klasy przewinienia — oto drewniane kleszcze do płaszczenia i uwierania palców kobietom przed inkwizycją stawionym. Oto nareszcie rodzaj grubej podeszwy, z prażonego rzemienia stosownie urządzonej, do dawania policzków z ręcznie i pędko.

Głęboko się nad tymi rzeczami zastanowiwszy, co więcej, iż kiedyś miałem był w ręku kodeks chiński (na angielski język tłumaczony) przeszedłem mnogie i puste krzesła opodal będącego teatru chińskiego, który się tu co wieczór grywa — zasłonę tylko zapuszczoną i oświeconą słońcem widzę — — ku Japonji zmierzam, ale Japonja jeszcze nie skończona i rzemieślników tylko widzę, zewnątrz budowy drewnianej, słomą szytej, zatrudnionych.

Ale oto znana mi granitowa brama świątyni egipskiej starożytnej; tę przeszedłszy, wchodzisz w dwurząd leżących sfinksów, tam i owdzie wachlarzowymi palmami przetykanych — dalej schody świątyni, sfinksowymi dokoła kolumnami z czterech stron otoczonej.

Cała ta świątynia zewnątrz i wewnątrz pstra jest hieroglifami, które zwykle widywaliśmy starte i spłowiałe — i czyni to widok szczególniejszy, albowiem mądrość linji ogólnych i powaga wielka całokształtu popstrzone są jaskrawo i tak wszechstronnie, że domyślał się, iż trzy tysiące lat temu, kiedy hieroglifów barwy świeżymi były, to musiał jedynie ogromny wymiar samejże budowy łagodzić tę pstrociznę.

Ale wnijdę w kurytarkę owych sfinksowych kolumn i obejdę cztery jego ościenia, zwłaszcza iż widzę, że sam będę tą maleńką bawił się przechadzką — niestety, u kąta jednej bazy spostrzegam leżące w cieniu duże palety, kolorów świeżych pełne i zgarnięte pędzle! tak dalece nie faraonskich sięgają czasów te igrające w słońcu hieroglify!

Zeszedłem przeto schodami w aleję sfinksów i odpoczęło oko moje na cieniach palm wachlarzowych, układających się na piasek... Cóż piękniejszego jest od tych gwiazdzistych cieni liścia wachlarzowego a poruszanego lekkim wiatrem —

muskają tak piasek i kładą się nań gwiazdami przezroczystymi i milczą. Mało rzeczy piękniejszych widziałem dziś — a jednakże dziś wszystko widziałem!

Opodaj śliczny kiosk z fontanną w głębi chłodnej sali i wielkiej, a sala ta podzielona jest na ustępy a w ustępie każdym inny arabski rzemieślnik innym jest rzemiosłem zatrudniony: ten dywany tką i okazuje pracy swej tajemnice, ów ze srebra i złota pierścienie robi, przypominające niekiedy Etrusków, inny tkaniny powiewne z jedwabiu, a inny maty z trzciny.

Dalej — stare moje, kochane poznają gruzy: to kurytarz katakumb rzymskich, zupełnie wielkości naturalnej i jakbym tam był — tylko szkoda, że jeszcze, widzę, lapidarnych napisów nie wryto.

Usłyszałem katedralnego dzwonu silne, srebrne, solenne uderzenie — to ktoś próbuje głosu dzwonów, do starożytnej katedry w Montpellier przeznaczonych. —

Przybliżam się do miejsca, gdzie rozbite namioty obejmują wszelakie podróże użyteczności: jest to Bazar du Voyage — na drewnianego muła albo osła, który służy za przykład poczciwości, pakują i troczą różne, najudatniej obmyślane, przybory podróże, — ten drewniany osioł nieruchomy, i ci ludzie, nieustannie pakujący się, i ci, ocaczający takowy wyjazd, co stoją i patrzą, — pomyślałem: że to zapewne jest podjeźdek do podróży około świata, tej właśnie, którą się tu czyni i zajmuje.

Sz w e d z k ą nieco dalej budowlę drewnianą widzę a ta wewnątrz ubrana jest w sieci rybackie, wieszające się na rosach renów, skóry zwierza dzikiego... Sznurów wiele udatnie przedzionych, drzewa pięknego pnie, słój i wartość swoją ukazujące — statków pływackich wszelakiego rodzaju i użytku modele drobne i staranne...

O niewielką przestrzeń murawy, jaśniejącej w słońcu, i jako szmaragd ciętej równo, widzę jeszcze Portugalję i Hiszpanję z mineralnymi i wegetalnymi skarby ich — marmurów różnobarwnych i różno-słodkich konfitur wielkie mnóstwo.

Wstępuję do brazylijskiej Tailleirie des diamants gdzie okazane są garście piasku różnej natury i barwy, zwiastującego lub towarzyszącego kopalniom djamentu. Kamieni tych w stanie onych pierwotnym wiele oglądam a podobne są do żwiru różnobarwnego, nad brzegami rzek leżącego, — atajony blask wewnątrz przezierny w ciągu pracy. Kilku rękodzielników pracuje tu i okazuje na przykładach historję tego jaśniejącego piasku, którym najdosłojniejsze i najpiękniejsze czoła i ramiona śmiertelnych osypane bywają i będą.

Wyszedłem nieco i przed się bez wyraźnego celu idę, potrzebując gdzieś spocząć na małą chwilę — —

Ogromnem piórem strusiem czy kto powiał koło mnie — czy długa się chmura przesunęła? — To królewski wielbłąd biały, i czarny jeździec na nim. Chodu takiego kto nie widział, tego sobie nie może wyobrazić. Zdało mi się, że łabędź przeciąga się, że ranny obłok przesunął i że południowego morza fala jedna przegarnia pianę swoją.

Uczulem we krwi mojej owy atom patriarchalnej wazechojczyzny, którego tysiące lat nie starły w czleku. —

Spocząć chcę na chwilę i zapisać te z natury doraźnie wzięte rysy, aby je Pani przesłać... Zachodzę do tunizańskiej kawiarni — tę wybrałem. Murzyn nalewa mi kawę tunizańską, jakiej nigdzie usta moje nie dotknęły — ta kawa jest z atomami bitymi na dnie czarki i ma świeżą oliwę ziarna swojego i jakąś wegetalną tłustość.

Tunizańska dziewczyna w kwefie na włosach i z naramiennicami złotymi, niesłychanie do Kleopatry podobna...

Całą archeologię profilów czytam na tej twarzy i w tych ramionach i gestach...

Coś fenickich księżniczek i coś faraonskich córek — i ani jednego rysu, ani gestu — jakby zatrzymały się wieki jedną epoką na tej twarzy i jakby uśmiechnęły się umarłe wieki, mówiąc: *To sen!*...

CYPRJAN N.

PANI-BO JESTEŚ Z TAKIEGO KLASZTORU,  
GDZIE ŚCIANĘ Z ŚCIANĄ  
GDY POŁĄCZANO, TO CIĘCIE TOPORU  
ZA ZBRODNIĘ MIANO.

PODWALIN NIEMA, BO DEPTAĆ JE TRZEBA,  
NI SCHODÓW WYŻEJ;  
ALE PORĘCZE SIĘGAJĄ DO NIEBA,  
PORĘCZE Z KRZYŻY!

A OKNA Z ŁEZ SĄ, A ŁZY SĄ Z KORONEK  
MODRYCH, CZERWONYCH I SZKLISTYCH;  
A ZAMIAST DZWONÓW W POWIETRZU SKOWRONEK  
I ECHA AKTÓW STRZELISTYCH. —

A ŁUKI Z SKRZYDEŁ SĄ SERAFINOWYCH,  
W WĘZŁY ZWIĄZANYCH;  
I STOJĄ, LECĄC, LUB CZEKAJĄ NOWYCH  
ŚWIATU NIEZNANYCH.

I SŁOŃCA NIEMA TAM — ANI KSIEŻYCA,  
TYLKO JUŻ ŚWIECI  
W OBŁOKACH<sup>1)</sup> CICHYCH H O S T J A BŁADOLICA  
ŚWIECI I LECI. —

WIĘC JA NA SĄDNYM DNIU POD SZATY RĄBEK  
WASZEJ SIĘ SCHRONIĘ —

MIŁO MI WIEDZIEĆ GDZIE SIADA GOŁĄBEK —  
JA — SIODŁAM KONIE —

CYPRJAN NORWID.

### PRZYPISY WYDAWCY.

- 1) Tu następuje ryśnięcie ołówkowe czterech koncentrycznie ułożonych elips.
- 2) W tem miejscu autografu następuje wyraz h o s t i a, później zakreślony.

Rękopis przedstawia dwie ćwiartki papieru listowego białego, zapisane szczerze ręką Norwida. Wymiary 20,9 cm. X 13,4 cm. Osiem stron, ponumerowanych na górze w rogach niebieskim ołówkiem. Na początku data: 1867, na końcu podpis Cyprjan N.

Zmodernizowana została ortografia oryginału i zmienione znakowanie.

List powyższy i autograf wiersza „Do Panny Józefy z Korczewa” zostały przezemnie odnalezione w Korczewie, w dawnym archiwum marszałkowej Joanny Kuczyńskiej. Z tego samego źródła pochodzący przepiękny wiersz „Do Ludwika Kuczyńskiej” i „Objaśnienia” prozą, wydające historjografię Norwida, ogłosiłem już dawniej w Sfinksie (Zesz. VI 1916, str. 11—18).

Wiersz tutaj przytoczony znajduje się w edycji Brockhousa oraz w wydanych przez Z. Przesmyckiego Pismach zebranych — jednak autograf wykazuje różnice tekstu, mianowicie w strofie III i VI.

„Panna Józefa”, której wiersz poświęcono, a o której wspomina Z. Przesmycki na podstawie relacji Anny Norwidowej, była to Józefa Koszutska, nauczycielka w domu marszałkowej i jej przyjaciółka. (Nagrobek jej jest na cmentarzu korczewskim).

Kiedy wiersz ten został napisany, autograf nie mówi.

Warszawa, w styczniu 1918 r.

Dr. ZYGMUNT MYŚLAKOWSKI.

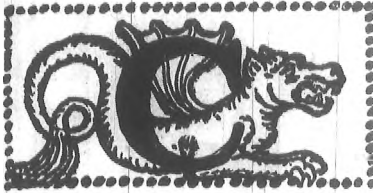


# POETA A ŚWIAT.

DR. WACŁAW MORACZEWSKI.

LINZ, w listopadzie 1917 r.

(W odpowiedzi na list otwarty redakcyi  
„Zdroju” do Wiktora Gomułickiego),



zy pamiętacie ten wiersz Norwida na śmierć Mickiewicza pisany?

„Coś ty uczynił Grecy Sokratesie?...“ W tym wierszu wypowiedział Norwid skargę odwieczną i uogólnił ją. — Sam poeta duchem, i człowiek o nieśmiertelnym charakterze rozumiał lepiej od innych, że krzywda dźać się musi tym, którzy duchem wyżsi nad innymi. — Wszakże i Krasiński z innych powodów powiada, że „tych kochasz wiernie synów, których koronujesz w ciernie.“ — A jeżeli tak, jeżeli cierpienie i brak uznania należy się niejako wybranym, to sądzę, że poeta ma prawo być dumnym z tej pogardy i lekceważenia tłumu, że powodzenie było by mu prawie wstydem, a pogarda jest jego płaszczem królewskim. — Skarżą się wprawdzie poeci i co gorsze umierają z głodu, brak im możności rozwijania talentu, idą czasami w służbę możnych tego świata, aby żyć — zdradzają ideały swoje dla chleba — wszystko to straszne, straszniejsze od śmierci ciała, od hańby ciała ta śmierć i hańba ducha — wszystko to stanowi ubytek, stratę nieocenioną — większą niż pożar lasów lub powódź — ale zmienić tego losu nie możemy i zmiana może by była klęską.

Jakże bowiem wyobrażamy sobie to życie poetów w onej Arkadyi wymażonej? Czy głos każdego z nich ma być głosem świętego, czy go mają słuchać tłumy z zachwytem i zrozumieniem? Czy mu mają znosić dary i otaczać honorem? Doprawdy, znudziły by mu się szybko te oznaki uznania i może by wolał mieszkać znowu „w bliskości nieba na poddaszu“ i być tym dumnym i samotnym władcą ducha, którego nikt nie rozumie. — Z chwilą kiedy sztuka, a mówimy tu oczywiście o sztuce najwyższej, najczystszej, stanie się popularną — przestanie być tem uczuciem i radością artysty, stanie się jakąś codzienną przyjemnością, jakimś ogródkiem publicznym.

Wszakże i teraz mamy popularnych wieszczów i popularne sztuki, ale cóż o nich myśli artysta prawdziwy?

Istota sztuki, istota piękna polega na tem, że je ocenić trudno, że umysłowi ludzkemu stawia zadanie, że wymaga wysiłku. R. Avenarius określał piękno jako wrażenie, które od pojęcia umysłu wymaga „trochę“ wysiłku — nie za dużo, bo jest nie rozumiałem — nie za mało, bo jest pospolitem. — Jeżeli ci artyści, którzy wczoraj byli niezrozumiali staną się dziś ulubieńcami tłumów, napewno nad nimi wznieść się musi artysta nowy, do którego należy jutro, a którym pogardzają, którego nienawidzą współcześni.

Nie wiem, czy w Grecyji była kiedy epoka takiego rozwoju umysłowego, że można było na igrzyskach olimpijskich czytać utwory poetyczne i być pewnym, że tłum cały oceni je sprawiedliwie. Mówią nam, że tak było, ale ilu w tym

łumie było znawców, a ilu wierzyło ślepo, albo klaskało bezmyślnie, o tem nam nie powiada historia. Jeżeli we Francji, Baudelaire i Verlaine, nie mówiąc już o Rimbeau — umierali z nędzy, jeżeli w Szwajcaryi o tak wysokim poziomie rozwoju, Boecklin i Keller za granicą uznania szukać musieli, to doprawdy nie można się spodziewać, żeby u nas było inaczej. — W Rosyi poetów wypędzano na Kaukaz, za to kochali ich współcześni — ale kiedy ich wypędzać przestano, stawali się poeci tak samo osamotnieni i nie rozumiali, jak w każdym innem społeczeństwie.

Jeżeli w nauce, wielka i przewrotowa nowość raczej szkodzi niż pomaga, jeżeli utarte drogi nawet uczonym najbardziej do karyery pomagają, to tem bardziej w dziedzinie sztuki nie można wymagać zrozumienia i pojęcia dla twórcy.

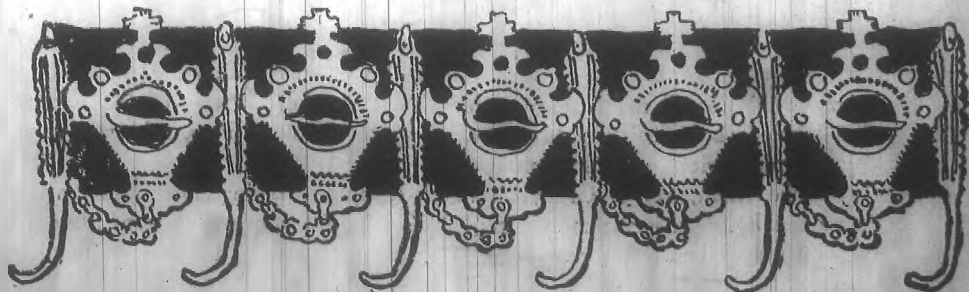
Twórca musi być uosobniony, musi być nie rozumiany chodzi tylko o to, czy ma być prześladowany, czy ma być szkalowany, lub przeklinany. —

Sztuka będzie zawsze dostępną tylko dla małej garstki wybranych. — Tę garstkę mamy utrzymać w poszanowaniu i całości. Ci wybrańcy są pośrednikami pomiędzy artystą a tłumem i zadanie ich jest równie zaszczytne jak wdzięczne.

Stawianie pocie zadań, dawanie mu rad i przepisów nie tylko jest ubliżeniem, ale zupełną nieznajomością procesu tworzenia — a po zatem nic w tej niepopularności nie zmienia. — Wszakże Żeromski mówi o sprawach, które obchodzą ogół, jest społecznikiem par excellence — ale właśnie tu, gdzie jego wielkie serce płonie najczystszy ogniem, gdzie jego wielka miłość najwyraźniej się przejawia — to właśnie napotyka na takie same prześladowania i urągania, jak tam, gdzie bezwzględną swoją sztuką ucho delikatne razi. — Poeta, mówiąc o rzeczach pospółstwo obchodzących, mówi o nich inaczej, mówi zbyt postępowo, zbyt radykalnie; musi być tak samo przerażającym, jak jest przerażającym swą twórczością artystyczną. —

A zatem... Nie próbujmy pogodzić poety ze światem. Zawsze to będzie ów samotny, „którego nienawidzą wszyscy“ zawsze ów niezrozumiały i przeraźliwy jak piorun. — Zadaniem naszym będzie natomiast wytworzyć zastęp ludzi, którzy go bronić będą, którzy mu umrzeć nie dadzą, którzy płomień jego ducha otoczą pierścieniem niepokonanej miłości.

Dalszym zadaniem będzie wychowywać tłum. Z nieubłaganem okrucieństwem wyrzucać by należało fałszywych bogów, nienawidzić trzeba pospolitość i banalność, lichotę i blichtr, uczyć odróżniać artyzm od zręczności. Tu całe morze wdzięcznej pracy przed nami — po drodze tej zmienimy zapewne po trochu i to uwielbienie dla cielca złotego, bo wychowanie estetyczne społeczeństwa będzie napewno i wychowaniem etycznym.



## POSEJDONIA.

## ŚWIĄTYNIA NEPTUNA W PESTO.

*Cudziel — o twą kolumnę opieram się drżąca...  
Ciepłem wcieka w twe żyły słoneczna pieścizota,  
Morze jak cytra grecka stopy twe potrąca  
i zgastych epok pomne, baśniami szeleszcze;  
niebios kryształ sieć na niem z srebrnych iskier mota.  
Czuję jak mi piers cichą bierze w władne kleszcze  
i dławi mnie wzruszenie...*

*Pośród rozwilgłej głuszy nadmorskich mokradel,  
gdzie się po topieliskach jad zarazy czai,  
za najdalszą Sezamu bramą i wahadeł  
czasu dziejów niepomny, u trzech en rozstai  
żyjesz królewski złomie! — Choć ziemia zdradziecka  
nieraz pękła pod tobą czeluściami piekła,  
nieraz w obłędnym płasie lawy żarem ściekła,  
morza cię oszalałe lizały języki,  
pluły chmur kłębowiska potop gradów dziki, —  
przetrwales! —*

*Za żywiołem szedł człowiek. Ludów rzeki, morza  
laly się, gnane biczem krwi, władzy i złota,  
łupiły cię, by nowych bóstw kupować łaski;  
przeszła nad tobą wieków omrocnych głuchota,  
i znów słońce nad śmierci nocą wzeszło w błaski;  
odwalały się z hukiem dziejów ludzkich karty:  
nie zmogła cię żywiołu moc, dziejów sromota; —  
jak legendowy lotos, stróż u piękna warty,  
stoisz niezwyciężony...*

*O ty pieczęci święta na rozwiangach kartach!  
jak klucz mi się dziś jawisz najstarszej zagadki,  
która zalała światów międzygwieżdne puszczki!  
Jej odbłask złoci kolumn twych dziewicze czoła  
i ten fryz, co ci skronie wiąże w dyadem gładki.  
Ja dziś wiem, że to morze, co do stóp ci pluszcze,  
potężnym hymnem prawdy przed twym tronem woła,  
bo w twem pięknie uczuło siostrę swoją: Wieczność! —  
I to wiem, patrząc w słońce, że patrzę w Konieczność,  
jak wiem, że w twoich kolumn biel gdy wzrok zapuszczę,  
pojmę, ogarnę bezdna...*

*O pniu ty marmurowy, po którym mę oko  
tęż wzruszenia nabiegłe, ślizga się pieścizwie,  
tyś lat temu tysiące widział — ty, ten samy —  
jak bóg morskich odpiętów na pianie mlecznej grzywie,  
w gwarnym trytonów hufie splotwał w swoje chramy.  
Gniew jego orgłą ognia szalał nad zatoką,  
wielki bóg zbiegał z wichrem...*

*Hen, od morza bramy,  
na nereidach wsparty, biegł z gromu łomotem  
spijać krew, co ku chwale ciekła mu z ołtarzy —  
I odchodził nasycon, i fala się kładła,  
jako zwierz na łańcuchu, jako łan — pokotem.  
I znów cichy się błękit ponad falą wazy,  
bóg odptynął dalami pod słońca namiotem.  
Dziś tu cisza cmentarzy — —*

*Drugie tysiącolecie wsiąkło w ziemi łono,  
odkąd boskich odwiedzin darmo czeka morze.  
W tęsknocie spłowił błękit, tarcza słońc przybladła,  
najpromienniejszy z swiatów zagwał na przestworze,  
a ze złomów łśni wyrok: wieczyście skończono!  
Biała dziewica moru błądzi przez mokradła  
i sieje czarne ziele. —*

*O ileż boleści  
w przewianej śmiercią pustcel! Kędy biegł mur miasta,  
wije się dzikim chwastem niepielone zielsko,  
nigdy go wietrzyk słodkim szepciem nie popieści.  
Na skruszałych kolumnach, co gwarzyły z bogiem,  
dziś wspomnień uciszyciel — senny bluszcz porasta.  
Majaczą w dalach trzody. Bawół z krętym rogiem  
kładzie się w grzązką ziemię i zuje leniwie,  
— dziedzic stron, które niegdyś kochali niebianie —  
Czasem zakrzyknie pastuch, brodząc przez manowce  
z kijem sękatym; wyrzy z haszczy niespodzianie  
i znów się nurza w rosach. Błądzą białe owce,  
dzwoniąc w mgławiczych zaroślach. Zrzadka sęp zakracze  
i porykiem mu bawół odpowie z daleka.  
Tu, gdzie bóg niegdyś mieszkał — dziś niema człowieka:  
ślepie zarazy w dalsze wyгнаło go kraje.  
Martwota, strach i pustka, — a mnie się wydaje,  
że ta głusza cmentarna nad ruiną płacze,  
że strumyk, co leniwie wśród akantów ścieka,  
to chyba Lety strumyk, co mierzy martwość  
i ostatnie chce splukać tych miejsc mary złote.  
Tak mi smutno..*

*I chyba tylko czasem... czy to ptak włóczęga  
trąci skrzydłem niebacznem? czy wiatru dosięga  
dawny gniew obudzony? Nagle — odłam głazu  
pryska z czoła kolumny i wali się w liście. —  
Wstrząsa się chwilę pastka. Bawół głowę wznosi,  
Blednie zdrętwiały pastuch —. Czyżby znów ognisćie  
rozerwało się łono ziemi, krwawej matki??*

*Nie, to łka róża dziejów, z której lecą płatki.*

*JULIA DICKSTEINÓWNA.*

## UCIECZKA



Jerzy Hulewicz — drzeworyt.

## Invocatio:

W ostatecznej pogoni za nieznany bogiem, co krwawy  
groził milczeniem piolunnym,  
wołam was, o wy kukły wstrętne na życia mego  
teatrum,  
hymny kłamstw chytrych, (trwogi opjaty śmiertelnej:

## Ares, Hektorów bóg:

*Tętniały we krwi purpury bohaterskiej myśli, co Chry-  
stusem była młodości,  
przywierałem do piersi głazy pięści butnych, ócz  
ostrzem niebo darłem wrogie,  
na twarzy i w sercu mając stale sine walczącej  
obojętności.*

## Djonizos, bóg opętany:

*W płazim skurczu do warg lgnął rozchełstany śmiechem  
zgiełk,  
prawdy oplwane mściły się koniecznym powrotem,  
podczas gdy rytmy bijąc obłędu tan tańczył rozpacz-  
nego cyrkowca.*

## Febos Apollon, słońce ostatnie:

*Wzgardliwym odsunąłem ruchem walki o pierś własną,  
gardząc myśli prężonych skokiem i błazeńską człowieka,  
co walczy, powagą,  
śmiech z warg zdarłem i ręce ku górze wzniosłszy szedłem  
do kościołów wiary i prostoty.*

## Conclusio:

Wróciłaś wreszcie kojąca pamięci, jadem słodka temu,  
co padł w drodze dni swoich pielgrzymich  
do ust cię niosąc zeschniętych i do serca, co puste wysiłki  
za czyny waży serdeczne,  
czynię życia mego komedię.

*(Lecz rozpadłem się już w rozmyślań miękkich bezładny)*

**KRZYCZĘ: ŻYCIA MEGO**

*(i w zagasłe leniwej mozaiki melodje duszę wplotłem karłą)*

**KOMEDYĘ CZYNIĘ —**

*(za późno).*

JERZY KARASEK ZE LVOVIC.

## GENENDA.

Przełożyła z czeskiego  
MARYA BUNIKIEWICZOWA.

Codziennie przemykała się Genenda, córka Alquadesa, koło pałacu dona Iniga Pereza de Oroasco, w chwili, gdy spodziewała się ujrzeć rycerza wyjeżdżającego konno w stronę Alcazaru, chociaż jej blada, przezroczysta, gasnąca krasa żydowskiego szesnastoletniego dziewczęcia nie zdołała nigdy opętać najdumniejszego i najpiękniejszego młodzieńca z Toledo.

Bezmocną była jej tęsknota. A przecież nie była zdolną opanować pokusy, by znów i znów nie wrócić w miejsce, skąd bodaj na chwilę mogła ujrzeć człowieka, który bezwiednie zapuścił korzenie w jej duszę... A potem wracała do domu upojona, niemal obłąkana temi spojrzzeniami, które raniły ją światłem tryskającym z pod powiek i zdruzgotwały niewidzialnym, gorejącym żarem głąb jej istnienia.

Jako geomant kreśląca na piasku magiczne obrazy, tak rycerz, nie wiedząc nawet o tem, ryl w duszy Genendy przedziwne kształty niezaznaczonych dotąd pożądań, wszystkie myśli płynące z czystego, dziecięcego serca nosła ku niemu i znajdowała rozkosz w poddaniu się chimerycznemu wybrańcowi. I gdy wieczorem samotnie ułożyła się w łóżnicę i rozświecała tajemniczą, srebrną lampę, zdobną w turkusy, poczerniała od starości, wiszącą u stropu na łańcuszku tak misternie wyrobionym, że niknął w przestrzeni, wywołując wrażenie — iż lampa unosiła się w powietrzu — roiła wtedy wspomnienia o tem co dzień cały śniła, o donie Inigo, — jak gdyby te marzenia z nim wspólnie przeżyła. Don Inigo nie domyślając się niczego dawał jej życiu cel i podjęcie, pod niewzruszonym chłodem jego postępowania serce Genendy rozkwitało niby pierwiosnek pod śniegiem.

W ten sposób panował nad jej duszą nie mając nawet pojęcia o jej istnieniu. Ojciec Genendy Izaak Alquades, najbogatszy żyd z Toledo był „maranatha.“ W obawie przed wygnaniem i utratą mienia przyjął pozornie chrześcijaństwo. Przeklęty przez współwyznawców, niezdobyl Izaak Alquades zaufania u chrześcijan. Domyślano się, że zmienił wiarę z wyrechowania, więc nazwisko jego umieszczono w katedrze na publicznym spisie — w tym celu — by i potomstwo jego nie uważanem było nigdy za prawowierne chrześcijańskie. Izaak Alquades nie dbał o to. W głębi duszy został najprawdziwszym żydem i w każdy sabbatowy wieczór modlił się z wielkiej księgi do Boga swych ojców.

Miłości córki nie domyślał się Izaak Alquades. Zanadto uważał Genendę za dziecko, by się zajmo-

wać jej marzeniami, gładził pieścziotliwie jej włosy, z których spływała na jego palce woń balsaminy.

Krasa jej nabierająca już znamion namiętności w porze przebudzenia się zmysłów, wydawała mu się niewinnością i niedojrzałością dziecka, gdyż patrzył na nią zinnemi, wygasłemi oczyma.

Od śmierci matki Genenda oddana była sama sobie. O majątek ojca nie dbała. Niczem był dla niej. Bogactwo? Cóż po niem, skoro trzeba było je ukrywać w głębi mrocznego domu, by nie narażać się na rabunek. Nigdy ludzkie oko nie ogłądało nagromadzonego złota i drogich kamieni, kosztownych sprzętów i szat. Leżało to wszystko w domu Alquadesa jakby w zapieczętowanym na wieki grobie. Ani jednym sznurem pereł, ani jednym dyamentem nie śmiała Genenda ozdobić swej szyi, gdyż wedle surowych praw nie wolno było żydowskiem dziewczętom używać innych ozdób prócz barwnych wstęg.

Dom nie miał dla niej uroku — wykradała się z niego jak mogła, by błądzić po ulicach wykładanych okrągłymi kamieniami. Na chwilę wstępowała do kościołów, wznoszących swe blade różowe dachy i szare ściany arabskiej architektury ponad spłotem biednych, obrudzonych i walących się domów. Lubiała spoglądać przez kraty kaplic na ołtarze, kędy posadzka wykładana była grobowemi płytami z onyksowego marmuru, na którym wyrte były herby najdumniejszych grandów.

Wyteżala oczy w mroku, by rozsznąć postacie na obrazach i odgadnąć dzieje wyjęte z biblii. Spotykała tu Jehowę tak samo jak w synagodze, którą przywłaszczyli sobie chrześcijanie, by uczynić z niej swój chrząm. Wydało jej się dziwnem, że chrześcijanie więcej przywiązują wiary do żydowskich legend, niż sami żydzi. Genenda jako córka „maranatha“, która nie mogła już być taką niepokalaną Żydówką, jako jej przodkowie — kształciła się bowiem w wierze chrześcijańskiej u dominikańskich mnichów — uważała nabożeństwo nie jako obowiązek religijny, lecz jako mit, podanie, podrażniające jej ciekawość.

Wiele wierzeń żydowskich pozostało w jej duszy i pomieszało się z nowo przyjętymi dogmatami chrześcijańskimi. Żyła w niej tradycja Talmudu, opowieści, których się nasłuchwała w najwcześniejszem dzieciństwie o cudownych rabinach, o odważnych a chytrych czynach żydowskich młodzieńców, o sławnych z wiedzy żydowskich uczonych, lekarzach i astronomach.

Ale również żyły w niej tradycje chrześcijańskie. Pociągał ją i wabił kościółek El Christo de la Luz. Była to prastara kaplica zawierająca wizerunek Chrystusa, przed którym gorzało wieczne światło. Z wizerunkiem Chrystusa związana była pobożna legenda.

Kiedy Maurowie zdobyli Toledo, przejmująca jakaś opadła ich groza, gdy przyszli zamienić kościół

na meczet, Chrystusa usunąć i zgasić lampę; nie dotknąwszy się więc wizerunku, zamurowali go popołu z płonąca przed nim lampą. Skoro chrześcijanie z powrotem odbili Toledo, koń Cyda Campeadora Babiecią, kroczący w zwyczajnym pochodzie, ukląkł przed kaplicą. Zatrzymali się chrześcijanie, przypomnieli sobie święty obraz i rozwalwszy cegły znaleźli po pięciuset latach ciągle jeszcze gorejące światło przed Chrystusem. Legenda ta czarowała duszę Genendy podobnie jak zamek Księżniczki Galiany.

Od chrześcijaństwa wracała jej myśl znów do żydostwa, gdy przechodząc poprzez Santa Maria la Blanca o fasadzie promiennej barwami i złotem, którą żydzi odebrali arabom, a żydom chrześcijanie, ujrzała w podwórzu studnię, gdzie żydzi odprawiali niegdyś swe rytualne umywania.

Sercem przeżywała to, w co inni wierzyli. Religiją jej było wszystko co tajemne, wzniosłe, piękne, wszystko — co otaczało taką wyjątkową istotę, jaką w jej mniemaniu był don Perez de Orosco. Religiją jej były legendy, które czytała w ojcowskiej bibliotece, w starych wschodnich foliałach oprawnych w szkarłat, jedwab, kość słoniową, safian, pergamin, a spletych klamrami z drogich kamieni podobnie jak biskupie pluwiwały. Jej nabożne wzruszenia — to żarki rytmy „Szir Haszirim“; słuchając ich myślała o donie Inigo de Orosco, tęskniąc do krwawiących stygmatów miłości, któreby na niej pozostawiła namiętność rycerza.

Myślała o nim czytając historię młodego Dawida i kochała świętego Sebastjana za to, że na ołtarzowym obrazie tak bardzo był podobnym do jej umiłowanego. Ubóstwiała wszystko, co miało tylko związek z powabnym chrześcijańskim rycerzem, który ją oczarował. Szukała go wszędy tułając się w morzu obojętnych ludzi, jako tuła się biedne, zbłąkane zwierzę za śladami swego pana.

Miasto zanurzone w gorących pocałunkach słońca, okrążone murami warowni pod stopami wysoko wspiętego Alcazaru nie było dla niej niczem więcej jak tylko miejscem, które miało wiecznie przechować historię jej zetknięcia się z donem Inigiem i wytworzyć przyszłą legendę, podobną tym, o których czytała w księgach ojcowskich, a może bardziej jeszcze sławną i bardziej promienistą.

To miasto gwarzące dźwiękami dzwonów i pieśniami organów, pierzchającymi z poza nieodkrytych dzwiry mrocznych kościołów, na których mieszały się ostre łuki z bizantyńską stylizacją i maurytańską architekturą, przemawiało tylko do niej i do don Iniga.

Podczas chrześcijańskiej mszy w kościele Santa Maria la Blanca modliła się do żydowskiego Jehowy z prośbą o namiętność, o którą raczej dyabła powinna była prosić, gdyż spełnienie jej byłoby dla dziewczyny wiecznem zatraceniem.

Tyle pogańskiej, maurytańskiej, wschodniej zmysłowości pozostało z dawna w powietrzu tego chrześcijańskiego miasta, dokąd jeszcze wydzielały z ogrodów swe ziemskie wonie lewandula, paprocie, kwiaty jaśminu, pomarańczy i cytryny, zwycięsko tłumiąc zapach, jaki wśród ulic roztaczało kadzidło i wosk podczas licznych procesyi.

Napróżno inkwizytorzy wyludniali żydowską dzielnicę. Napróżno przemienili synagogę w kościół Santa Maria la Blanca. Kacerstwem i bezbożnością nasiąkła atmosfera miasta i nie zdołały jej oczyścić ani święte deszcze dominikańskich kropideł ani napelnić goryczą dymy licznych całopaleń.

Nie płonęły już złote szabasowe lampy w dzielnicy żydowskiej. Dźwięk harf nie wtórzył odświętnej pieśni „Lecho Dodi likras Kaloh...“

Krzywe, poplątane uliczki z domami o niskich balkonach i małych okienkach opatrzonych starami kratami snąc jeszcze maurytańskiej roboty, o dźwiękach wybitnych gwóźdźmi wielkimi jak pięść, opustoszały zupełnie. Ożywiały je tylko nieliczne gnieźdzące się jaszczurki. Zdziczałe krzewy brzoskwiń, których nikt prócz ptactwa nie obrywał, wyrastały ponad mury i zwieszającymi gałęziami zwolna wypelzały ponad schody.

Coś niesamowitego było w tem zniszczeniu siedzib bądźto wygnanych, bądźto spalonych żydów. Pustką świeciły miejsca, gdzie ongiś lśniły wschodnim przepychem żydowskie bazyliki, do których z Indji i Chin płynące okrępy zwoziły złoto i tkaniny. Martwo i glucho było w miejscach rojnych kiedyś uczniami najznakomitszych żydowskich mędrców, najlepszych kabalistów, bajecznych thaumaturgów o twardem, wyniosłem czole, z którego zdała się tryskać intuicya, niby cudowne źródło ze skały dotkniętej laską Mojżesza.

W szponach tej przerażająco martwej ciszy drgała dusza Genendy. Zdawało się jej, jakoby ugniatało ją wieko trumny zwałonej na grób zdeptanego przez chrześcijaństwo żydostwa. Córa „marana athy“ tutaj dopiero odczuwała w całej pełni hańbę ojcowskiego tehorzostwa i pierzchała precz z zamartej dzielnicy, jakby uciekała przed wyrzutem własnej winy...

Była winną — kochała chrześcijanina. Tym większym był jej grzech, czem beznadziejniejsza i nie szczęśliwsza jej miłość. Przecież Jehowa zabrania kochać wbrew zakonowi — choćby z powodu tej miłości miał człowiek przejść najcięższe katusze!

Genenda czuła, że nic jej już nie uchroni i nic już innego uczynić nie zdoła — jak to co czyni. Coś pchało ją codziennie wbrew woli wzdłuż pałacowego muru, barwy bursztynowej i upiękzonego emaliami ku głównej bramie pałacu dona Iniga de Orosco przy placu sławnym z katedry, z alcazarów, szlacheckich przybytków, których dziedzicze upiększały starożytnie

marmurowe studnie. Pałac dona Iniga z fasadą o lekko pomarańczowym tonie, z oknami wiecznie zakrytymi miękkó szafdownami zasłonami kaszmiru, był jedną z najpiękniejszych budowli owocnych, o barwach ciemno brązowych lub ciepło białych spowitych w różowość kwitnących platanów. Ogród pałacowy napelniał drzewa i krzewy mirtu, akacyi, bzu, lśniących wawrzynów, zalewały cienie przepojone złotem i zielenią. Agawy wyciągały swe sztywne ramiona, w porfirowych wazach dojrzewały rajskie jabłka a chińskie piwonie o ogromnych, różowych kwiatach pływały w zieleń traw znękane upałem i pobladłe sypały.

Tu przechadzał się don Inigo z pięknymi damami. Tam za owemi wiecznie spuszczone zasłonami w salach wypełnionych palisandrowym sprzętem, w komnatach obwieszonych portretami dumnych grandów, całował ich usta i prawil im czule słowa. Genendę zżerała zazdrość. Smutna, poniżona, bojąc się, by nie przyszła chwila, w którejby don Inigo nie odgadł jej śmiesznych myśli wracała w stare, śmierdzące uliczki Toleda do ojcowskiego domu. I nigdy nie czuła się tak jak teraz małą dziewczynką, biedniejszą od dzieci żebraków na schodach katedry.

A gdy weszła do swej komnaty, która jej się zdała raczej składem starożytności niż ludzkim mieszkaniem, gdzie przeszłość milczała, jako milczy zegar w opuszczonym domu, przeglądała się w weneckiem zwierciadle, oprawnem w hebanowe ramy zdobne w płaskorzeźby i wzdychała.

Doprawdy, niemożliwem było, by się kiedy mogła spodobać donowi Inigo. Coraz bardziej brzydła. Chudła i nikała, jakby ją nękała tajemna, ciężka choroba. Cera, która dawniej przypominała kość słoniową, straciła swój połysk i przybrała kolor starej, zakurzonej gromnicy.

Jak złudnym, niemożliwym do spełnienia był ten sen, którym podniecała się Genenda, jakże niemiłosiernie ścierała z niego rzeczywistość ów złoty puch, którym go barwiła.

Pogrążona w myślach marzyła, że pewnego dnia zrzędzeniem nieszczęśliwego przypadku utraci don Inigo swe bogactwa i zapuka do drzwi jej ojca, jak to czyniło tylu innych zubożałych szlachciców, by prosić o pomoc... Będzie wówczas jeszcze bledszy niż zwykle. Spotkają się nagle w proggu jej rodzinnego domu. Łście — jakiz on bardzo nieszczęśliwy, powie sobie Genenda, — lica ma zmienione... Pełne zdumienia oczy Iniga padną na nią. Wyda mu się nadziemską zjawą. Długo i nabożnie spoglądać będzie na jej czoło i oblicze, na jej usta, na jej płeć miękką jak aksamit mieniącą się światłem i zaskoczony zostanie nagle miłością do nieznajomej dziewczyny, zadrży z obawy, aby nie zczęzła ta doniozła

chwila i aby nie utracił szczęścia, które spadło tak nieoczekiwanie...

Teraz znów czuła Genenda, że nie nadejdzie nigdy taka przyszłość i nie odsłoni tajemnic ogromnego szczęścia. Słowo „nigdy“ wyrzeczone głośno, paliło jej wargi swem groźnem nieublaganiem... Pod ciosem tego słowa rozkrwawiała się jej boleść i rozsypywały się w nicosć jej nadzieje, tak jak za dotknięciem ręki, w popiół i pył rozsypują się jabłka dojrzewające na wybrzeżach Martwego morza. Pierzchł czar kłamliwego snu i znikł bez śladu i woni... Don Inigo Perez de Orosco wydał się jej bez czucia, chłodny jak marmur. Jego miłość należała i należeć będzie do innych kobiet. I znowu zasycała zazdrość w głębinach upokorzonego jej serca, jak gad w gnieździe. Blysk jej zielono-złoty oczu zionął nienawiścią ukrytą w głębi wzburzonego serca. Będzie teraz zupełnie inną. Będzie złą, pełną ironji i nienawiści dla całego świata.

Następnego dnia poszła Genenda jak zwykle w stronę pałacu dona Inigo. Musiała bodaj chwilkę spojrzeć na niego — chociaż ojciec był dnia tego wiele zaniepokojony i nie życzył sobie, by wychodziła z domu. Krążyły słuchy, że duchowne władze miały znowu z rozkazu króla zbadać gorliwość w wierze wszystkich nowo chrzczonych żydów. Było podejrzanie, że potajemnie zostają wierni swej wierze. Opowiadano, że mają w jednym z domów ukrytą synagogę, gdzie się schodzą.

Zawitali do Toleda madyrcy inkwizytorzy. Pewnem było, że licznym żydom grozi utrata mienia. A nawet było prawdopodobnem, że inkwizytorzy zechcą uświetnić blizką rocznicę urodzin królowej ogromnem auto da Fé.

Izaak Alquades zawiesił u wnijsia do swego domu olbrzymi krucyfiks olśniewający wzrok każdego, kto wchodził do wnętrza. Chrystus naturalnej wielkości odbijał rażąco białą swego nagiego ciała od pocznialych ze starości murów. Katedrze podarował Alquades wspaniały gotycki pult w formie z rozpiętymi skrzydłami orła, który pożera smoka. Oczy potwora były z wielkich, czerwonych kamieni.

Napróżno nakłaniał ojciec Genendę, by nie wychodziła z domu w obawie, że ubliży jej może ulicznemu gawiedz podszcztu przeciw żydom nowymi gadkami o zbeszczeszczonych hostyach. Opowiadano, że jakiś nowo ochrzczone żyd przystępując do Pańskiego Stołu nie spożył Ciała Bożego, ale tajemnie je schował i chcąc shańbić, wrzucił w domu do wrzącej wody, lecz stał się cud: nad wodą ukazał się mały Jesusik, a żyd padł martwy na ziemię. Genenda o nic nie dbała. Owładnęło ją jedyne pragnienie: ujrzeć dona Iniga. Tęsknota jej chwytala się, nikłych na-



dzieci podobnie jak się chwyta nagiej skały pnąca gałąź dzikiej figi. Pragnęła kochać dona Iniga. Pragnęła go odnaleźć choćby na okamgnienie, by uciszyć serce, ukoić boleść i oddać się swemu przeznaczeniu...

Mając w oczach żar takiej boleści, że niewiedziała nawet dokąd idzie, powtarzała imię Iniga, niaby magiczne zaklęcie. I zdało się jej — że tem imieniem wszystko odpowiada. Nie słyszała nic, jeno głos swej miłości. Posiadając to imię wierzyła, że posiada także część istoty umiłowanego, więc wciąż a wciąż je powtarzała.

W oczach jej nie było płomienistszego nimbu złota, droższego dyademu, dumniejszego rycerskiego pasa nad to imię. W tem opętaniu magnetycznym wierzyła w istotę tak oddaloną i niedosiężną i to jej umożliwiała kochać chimery i nie pozwoliło odczuć przepaści między słonecznym kłamem a rzeczywistym kształtem.

Genenda badała swe serce i czuła, że miłość ta jest dla niej nieubłagana koniecznością. I gdyby ją nawet don Inigo doprowadził do zguby — byłoby to przecież lepszem, niż dotychczasowe nędzne życie. Modliła się: Weźmij mnie najdroższy, bym mogła zginąć w tobie... A choćbym była marnem ziarnkiem nadbrzeżnego piasku, który odrzuci twa fala nie uczuwając go nawet... pragnę cię miłować i kochać ten straszliwy smutek i tę nieznośną boleść duszy, dla której ty jesteś despotycznym narzędziem męki, gdy codzień na nowo targasz ją obojętnością, tak bardzo bezlitośnie i beznadziejnie...

Rozegzaltowanem spojrzeniem i zgorączkowanemi oczyma patrzyła dnia tego na dona Iniga wyjeżdżającego na zwykłą przechadzkę w stronę Alcazaru. Wydał się jej dziś bardziej smutnym i zadumanym niż obojętnym. Matową cerę Genendy poprzecinaną błękitnymi żyłkami o nieuchwytnym czarze, cerę jakby uduchowioną ożywił rumieniec. Młode ciało przebiegł dreszcz. Jej usta zwilżyły się rozkosznie jako się zrasza wilgocią winne grono pełne soczystości.

Jej serce zdolne do najpobawniejszych zamętów, biedne serce tylekroć niepostrzeżone i mimowolnie zranione, stało się na chwilę szczęśliwe, czując się w pobliżu stopni swego okrutnego ołtarza, ku któremu wznosiło wszystkie wzdryki i natchnienia, jako marne kwiaty — by tam wiecznie wędły bez odwzajemności ze strony wzywającego bóstwa.

Spieszyła do domu, a gdy don Inigo zniknął z jej oczu — oswładnęła nią obawa i zadrgała duma. Toledo, zstępujące w stronę Tajy, wraz z swymi dumnymi pałacami pomieszanyymi w sploty uliczek i zniszczonych brudnych domów podobne było do wzburzonego mrowiska. Genenda wyczuwała w mrowiącej się masie ludzkiej nienawiść do swego plemienia.

Dosłyszała pogroźki, nienawistne słowa kierowane ku żydom. Poczwała ulgę, gdy bez szwanku wstąpiła się do wrót rodzinnego domu. Ojciec czekał już na nią pełen niepokoju. Rozjaśniło się jego oblicze, gdy Genenda położyła końce palców na „nezuzu“ skrytym u wejścia pod krucyfiksem i wyszeptala werset z Pisma.

W tej chwili Izaak Alquades popatrzył nienawistnie na krucyfiks, który musiał zawiesić u wnieścia domu, by wzmocnić pozory, że jest prawowitym chrześcijaninem. Naraz zdało mu się, że Chrystus poziera nań z szyderczym uśmiechem na twarzy... Izaak Alquades objął rękoma głowę Genendy i wycisnął pocałunek na jej czole perłowo białem o aksamitnej skórze podobnej płatkom jaśminu. „Dziecko, lekkomyślnie narażasz się na niebezpieczeństwo, rzekł z wyrzutem, zapominasz w jakich żyjemy czasach. Zapominasz, że Bóg ojców naszych wydał nas w ręce najokrutniejszych nieprzyjaciół.“

I nagle Izaak Alquades zerwał się pełen nienawiści. Ściągnął pieść podniósł w stronę ulicy, jakoby groził całemu Toledo począwszy od Alcazaru aż wdół w stronę Tajy, którego pieniające wody omijały stare, rozpadające się mury. Groził całej gromadzie chrześcijańskich przybytków i kościołów, wraz z bramami, miastami, łukami i wieżami. Groził całemu miastu, gdzie bezpiecznie żyją wśród zrabowanych bogactw nieprzyjaciele żydów. I usta jego wymówiły straszliwą kłatwę.

Genenda zadrzała. Miłowała jednego z tych, których przeklął ojciec. Kłątwa ojcowska przypominała jej beznadziejną miłość i ukłękła w serce jako jadowity skorpion. Szła w pół przytomna, by przyprowadzić ojcu zwykły szabasowy „birkoth“, bezmyślnie cisnęła na ogień „challe“, czyniąc dzięk Bogu. Myśl jej biegła do pałacu dona Iniga.

Rozkołysana jej dusza zatrzymała się na donie Inigu, jako zatrzymuje się wąta łódź na kotwicy. Wywoływała z przeszłości wszystko to, co miało z nim choćby najmniejszą styczność.

Czy don Inigo wiedział co o niej? Genenda wspominała dzień, w którym go poraz pierwszy ujrzała. Zdało się jej, że to było dziś, chociaż już rok upłynął od tej pory. Przechodziła mostem Alcantara pod arabskim sklepieniem Puerty del Sol, gdy go nagle ujrzała jak jechał konno naprzeciw, jaśniejący młodzieńczą krasą, z uśmiechem na czarujących ustach, w którym połyskiwały śnieżnej białości zęby. W tej chwili pobladło słońce dla Genendy, słońce — zionące gorącym ogniem. Wszystko na świecie przestało dla niej istnieć — prócz dona Iniga. Szła za nim jak oczarowana. Dowiedziała się kim jest, wysłuchiwała losy jego życia. Cała jej uwaga skupiła się na nim. Cały swój żywot poczęła zastosowywać do

niego. A jeśli się czasem starała wyzwolić z pod tego uroku, don Inigo zwyciężał ją i jednym rozkazującym spojrzaniem, miażdżył ją piorunem blasków, tryskających z pod nieugiętego bohaterskiego czoła.

Izaak Alquades zawarł starannie wszystkie okna wychodzące na ulicę, dokonał zwykłego świątecznego umywania, a potem czekał na Genendę, by z nią razem odczytać psalmy i pieśń Salomona a później powieczerać. Ponieważ długo nie przychodziła sam zapalił szabasowe światła w srebrnych lampkach napełnionych oliwą, zawiesił na ścianie zwróconej ku wschodowi słońca „mizrach“ z sześcioramienną gwiazdką i obrazami przedstawiającymi widoki świętych miejsc w Palestynie i odmówił cały tekst: „Mizad zech Ruach Chajjim“ wspominając podczas modlitwy straconą ojczyznę, z której ma znów przyjść duch żywota. Nagle weszła Genenda. Przystroiliła się i upiękniła, jakgdyby miał patrzeć na nią sam don Inigo. Obnażone śnieżne piersi okrasila jasnemi perłami — które odziedziczyła w spadku po zmarłej matce. Delikatne jej oblicze o barwie mleka i naczyczu nabrało miękkiej wilgoci a duże oczy ciskały światła niby zwierciadło, niby toczony kruszec lub twarde ściany rżniętych topazów.

Zdziwił się Izaak Alquades. Nigdy jeszcze nie widział córki w takim powabie. Z dziecka przemieniła się nagle w kobietę. Zamiast świeżej gałązki różowego kwiecia, jaką zdała mu się być Genenda w dzieciństwie, zjawiła się nagle jako piękny, dojrzały owoc pobudzający swą soczystością głód zmysłów. Naprawdę zastanawiał się Alquades pod czyim wpływem rozkwitły te wdzięki — naprawdę gubił się w myślach kto dozwolił przekipieć tym powabom, tak, jako się dozwala podczas „halekali“ przelać wina poza brzeg pucharu. Nie odgadł, kto sprawił, że oczy Genendy zmieniły barwę, nie domyślał się w czyje padała ramiona wśród swych snów i kto z dziecka zmienił ją w kobietę. Szczęściem było, że nawet nie domyślał się istnienia dona Iniga Pereza de Orosco — że niewiedział jaki przeklęty żar tęsknoty zapalił ogień w oczach Genendy. Podniósł puchar i wymawiał błogosławieństwo nad winem, odkrył świąteczne chleby i oboje z Genendą pochwalili „kiddusz“ — gdy nagle obawa padła w ich serca i do oczu napłynęły łzy.

Izaak Alquades wspominał przeszłość, gdy jeszcze w dzisiejszym kościele Santa Maria la Blanca swobodnie z drugimi współwyznawcami w przedwieczierz szabasowy śpiewał pieśni Salomona Lewity o synu Izajasza z Betlejem, potomku Faresa... Obecnie odepchnięty „maran atha“ potajemnie zapala poza zawartemi okiennicami szabasowe światła, podczas gdy buńczuczni chrześcijanie w byłej synagodze śpiewają pieśń do nieprawego Mesjasza, który odniósł zwycięstwo nad synami Izraela...

Genenda myślała o donie Inigo i o marności swej tęsknoty. Słuchała modłów ojcowych tak, jakoby leżała w trumnie i łowiła śpiewy pogrzebowe zawodzone nad radością swego życia. Tutaj w domu ojca nie było życia — była jeno śmierć. Zbudziła się z zamyślenia gdy ojciec podał jej do powąchania wieżyczkę z cedrowego drzewa napełnioną pachnidłem — dziś naczynie to wydawało morową, trupią woń. Zapomniała, jak będąc dzieckiem lubiła te zapachy i że zdały się jej wtedy najczarowniejszymi na świecie. Zapomniała o tem ile się namęczyła z odczytaniem imienia — Jeruzalem — napisanem na skrzynce.

Woń żywota była inną niż woń grobu. W grobie wiedło jej życie. Woń żywota — to zapach terasów gdzie kwitły czerwone, namiętne, purpurowe kwiaty — to zapach szafli na rozpalonych złomach... Woń życia to jest to wszystko co się znajduje poza ciemnymi, szaremi ścianami tego domu i poza myślami ojca pograżonego teraz w modlitwie i w ponurym swym Bogu, który okrył lodem serce starca.

Platynowy zegar wykładany ciemną emalią w artystyczne arabeski, wybił północ, gdy nagle Izaak Alquades i Genenda zostali zbudzeni ze swych snów.

Posłyszeli naprzód niewyraźne szmery na ulicy, później odezwały się uderzenia w bramę domu, potem slychać było w dole krzyki a wreszcie załopotały na schodach kroki zbliżających się ludzi i dźwięk zbroi.

Zerwał się Izaak Alquades wyczuwając instynktownie zbliżające się zło. Oszołomiony boleścią pochwyił Genendę zmartwiałą z strachu i potoczył się na szarą tkaninę gęstego kobierca posianego kwiatami wszystkich barw, począwszy od bladej żółtej do cynobru i lazuru.

Drzwi się rozwarły i na czele ludzi wszedł człowiek o strasznym obliczu, obliczu martwym i starganym zda się w zapasach z demonami.

Izaak Alquades poznał go. Główny inkwizytor, otoczony pacholami, których wysłał do domu podejrzanego „marana atha“ w imieniu „nuovo J Santo tribunal“ — patrzył zimno i badawczo w twarz żyda... Koścista, długa postać odziana jedwabnym, czarnym płaszczem i biretem, siała przerazenie swą odrażającą twarzą nie znającą nigdy uśmiechu i tak trupią, że krew by się na niej nieukazała nawet pod nożem. Daremnie się było zapierać... Główny inkwizytor rozglądnął się po komnacie, widział zapalone, szabasowe światła, ujrzał zawieszony mizrach, resztki wina, wieżyczkę z wonnym korzeniem — dowiedziono więc Izaakowi Alquadesowi, że jego chrześcijaństwo było tylko podstępem, bo i nadal pozostał żydem.

Główny inkwizytor skinał a pacholy pochwyliły Izaaka Alquadesa i jego córkę...

(DOK. N.)

## U POETÓW.

GOTFRYD KELLER.

## NOC ZIMOWA.

Nie strzępnęło żadne skrzydło wkrąg,  
Cicho, skrawie leżał biały śnieg.  
Chmur porporzec nie wiał z gwiezdnych łuk  
I nie biła stęgła toń o brzeg.

Z głębin rość jął wododrzewa słup,  
Az w lód wmarzł mu gałęzisty wierzch;  
Na sam wspięła się wodnica czub,  
Przez lód jęła w nocny patrzeć zmierzch.

Stałem na tem cienkiem lodu szkle,  
Co od czarnych dzieliło mię wód,  
I widziałem tuż u stóp, jak w śnie,  
Niewystowny białych członków cud

Kwiląc głucho, jęła błędnie wkrąg  
Strop lodowy macać tam i sam;  
Nie zapomnę chmurnej twarzy mąk,  
Wiecznie w oczach i w myśli ją mam,

## „ICH HAB' IN KALTEN WINTERTAGEN..“

W posępnem, beznadziejnem tętnie  
Zimowych mroźnych, mrocznych dni,  
Z myśli wygnałem was doszczętnie,  
Niesmiertelności złudne sny.

Dziś, kiedy pała, gore lato,  
Widzę, zem słuszność wówczas miał;  
Zwieńczyłem serce znów bogato,  
Lecz w grobie legł urojeń szal.

Jasnej mię rzeki niosą fale,  
Dłoń mi chłodząco muszcze prąd;  
Okiem w lazurów tkwią krysztale —  
Gdzież ojczyzn lepszych szukać ztąd?

Dopiero dziś pojmuję ciche  
Twe pozdrowienie, lilio wód:  
Wiem, mimo ogni wewnętrznych pychę,  
Zem tak, jak ty, znikomy płód.

## PIESŃ WIECZORNA.

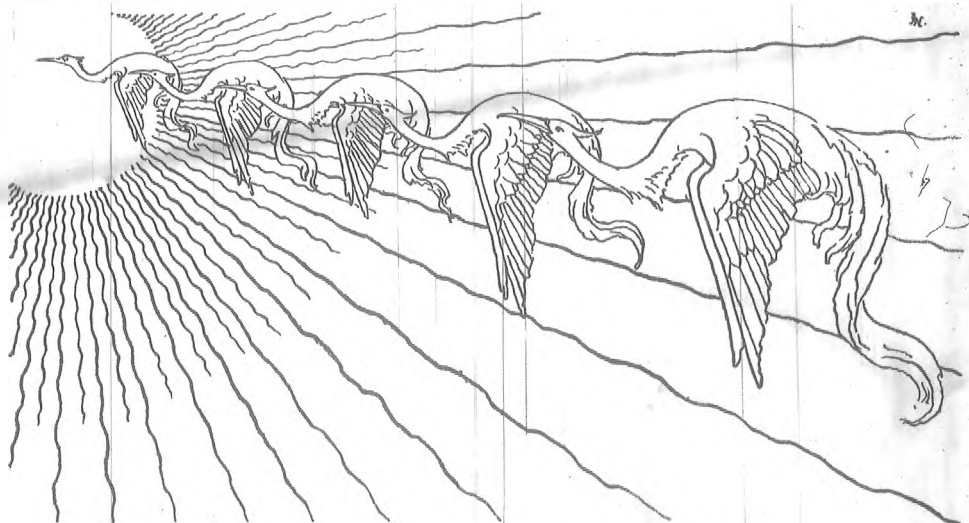
Oczy, łube okieneczka me!  
Jeszcze wami niech się skrzę i lśnię,  
Zjawisk zmienną niechaj chłone grę:  
Wrychle snadź się otulicie w mgłę!

A gdy ścimi was powiek ciężkich kir,  
Gdy zgaśnięcie, dusza znajdzie mir,  
Z nóg omackiem dróg otrząśnie zwir,  
W waszej trunie zgłuszyc życia skwir.

Chwilę jeszcze skierki z wnętrza dwie  
Widzieć będzie, jak gwiazdy we mgle,  
Aż zachwieją i rozwieją się,  
Jak gdy motyl wionie skrzydły w śnie.

Lecz dziś zmierzchem jeszcze błądzę dnia;  
W wodzące się gwiezdne wpatrzon tła;  
Pijcie, oczy, co się strzymać da,  
Przepych świata pijcie aż do dna!

MIRIAM.



## OGRODNIK

RABINDRANATH TAGORE.  
Z ANGIELSKIEGO PRZEKŁADU AUTORA SPOLSZCZYŁ  
JAN KASPROWICZ.



**P**TAK ŻÓŁTY ŚPIEWA na drzewie i wprawia me serce w ta-  
niec radości.

Oboje żyjemy w tej samej wsi i to cała krztyna naszej  
uciechy.

Dwa ulubione jagniątka jej przybiegają paść się w cieni  
drzew naszego ogrodu.

Gdy się zbłąkają na naszym polu jęczmiennem, biorę  
je na ręce.

Khanjana zwie się wieś nasza, zaś Anjaną zowią na-  
szą rzekę.

Imię moje zna cała wieś, a jej na imię Ranjana.

Jedna tylko płoska leży między nami.

Pszczoły, w naszym sadzie mające swe ule, udają się po miód  
do jej sadu.

Kwiaty, rzucane z nad jej brodów, przyplývają po rzece, w której  
my się kąpiemy.

Kosze suszonych kwiatów *kusmowych*<sup>1)</sup> dostają się z jej pól na  
nasz rynek.

Khanjana zwie się wieś hasza, zaś Anjaną zowią naszą rzekę.

Imię moje zna cała wieś, a jej na imię Ranjana.

<sup>1)</sup> Gatunek szafranu *crocus sativus* albo *cassia tinctoria*.

Droga, snująca się ku jej domowi, kwitnie na wiosnę kwieciami mangowem.

Gdy ten jej dojrzeje w czas sprzętów, konopie kwitną na naszym łanie.

Gwiazdy, uśmiechające się do jej chaty, ślą i nam to samo migotliwe spojrzenie.

Deszcz, którym wzbiera jej studnia, raduje i nasz gaj *kadamowy*.<sup>1)</sup>

Khanjana zwie się wieś nasza, zaś Anjaną zowią naszą rzekę.

Imię moje zna cała wieś, a jej na imię Ranjana.

GDY ONE DWIE SIOSTRY udają się po wodę, przychodzą na to tu miejsce i uśmiechają się obie.

Spostrzegły widocznie, że ktoś stoi po za drzewami, ilekroć przychodzą po wodę.

Dwie one siostry szepcą ze sobą, gdy przechodzą obok tego tu miejsca.

Odgadły widocznie tajemnicę o tym kimś, stojącym po za drzewami, gdy one przychodzą po wodę.

Chybcóż się nagle ich kruże i woda się wylewa, gdy przyjdą do tego tu miejsca.

Odgadły widocznie, że bije serce w tym kimś, stojącym po za drzewami, gdy one przychodzą po wodę.

\*

Dwie one siostry spoglądają na siebie, gdy przychodą do tego miejsca, i uśmiechają się wzajem.

Śmiech jest w kroczących pospiesznie ich stopach, śmiech, mącający myśli tego kogoś, który stoi po za drzewami, gdy one przychodzą po wodę.

SZŁAŚ BRZEGIEM RZEKI z pełnym dzbanem na biodrze.

Dla czego tak szybko zwróciłaś ku mnie oblicze, dla czego spojrzałaś na mnie po przez powiewającą zasłonę?

Promienny wzrok ten zawitał ku mnie z ciemności, jak wiatr, który deszczem przejmuje rozfalowaną wodę i sunie ku cienistemu brzegowi.

Zawitał ku mnie, jak ptak wieczorny, od okna do okna trzepocący się w mrocznej izbicy ginący wśród noc.

Ukryta jesteś, jak gwiazda po za wzgórzami a ja jestem przechodzień po drodze.

Ale dla czego stanęłaś na chwilę i spojrzałaś na mnie po przez zasłonę, idąca brzegiem rzeki z pełnym dzbanem na biodrze?

<sup>1)</sup> Drzewo (*nauclea cadamba*) o wonnych, pomarańczowych kwiatkach.

DZIEŃ PO DNIU JAWI się on i odchodzi.  
Idź i daj mu kwiat z moich włosów, mój druhu.  
Jeśli zapyta, kto mu go posłał, proszę, nie wymieniaj mu nazwiska  
mego, albowiem jawi się tylko i znowu odchodzi.

\* \* \*

Siedzi w pyle pod drzewem.  
Uściel mu siedzenie z kwiatów i liści, mój druhu.  
Oczy jego smutne i smutek wnoszą w me serce.  
Nie mówi, co ma na myśli, jawi się tylko i odchodzi.

CZEMUŻ ZAPRAGNAŁ PRZYCHODZIĆ do mych drzwi o brzasku  
dnia ten młodzieniec wędrowny.

Wchodząc i wychodząc, mijam się z nim co chwila i oczy me  
wzięci jego oblicze.

Nie wiem, czy mam do niego przemówić, czy milczeć. Czemu  
zapraǳnął przychodzić do mych drzwi?

Ciemne są chmurne noce lipcowe; łagodny jest błękit niebiosów  
jesiennych, dniom wiosny spokoju nie daje wiatr południowy.

On pieśni swe spleta z świeżych ciągle melody.

Odwracam się od pracy i mgłą zachodzą me oczy. Dla czego  
zapraǳnął przychodzić do mych drzwi?

GDY OBOK MNIE POSPIESZNYMI przechodziła krokami, dot-  
knął mnie okraj jej sukni.

Z nieznanej wyspy jakiegoś serca powiał nagle ciepły oddech  
wiosny.

Musnął mnie powiew przelotnego dotknięcia i znikł teǳe chwili,  
jak zerwany liść kwiecia, pędzony wiatrem.

Padł na me serce, jak westchnienie jej ciała i poszept jej serca.

DLA CZEGO SIEDZISZ TAM i pobrzękujesz naramiennikami  
dla pustej tylko igraszki?

Napełnij dzban swój. Czas ci powrócić do domu.

Dla czego poruszasz wodę rękami i od czasu do czasu oglądasz  
się za kimś po drodze dla pustej tylko igraszki?

Napełnij dzban swój i wracaj do domu.

Godziny poranne mijają, ciemna woda płynie dalej.

Fale się śmieją i szepcą do siebie dla pustej tylko igraszki.

Obłoki wędrownie zgromadziły się na krańcach nieba, by wznieść się tam znów nad ziemię.

Wahają się i patrzą ci w twarz dla pustej tylko igraszki.  
Napełnij dzban swój i wracaj do domu.

NIE ZACHOWUJ DLA SIEBIE TAJEMNICY swego serca, o druhu.  
Wyznaj ją mnie, tylko mnie, potajemnie.

Ty, co tak przyjaźnie się śmiejesz, wyszepecz mi ją po cichu.  
usłyszysz ją moje serce, nie moje ucho.

\* \* \*

Noc jest ciemna, dom jest milczący, gniazda ptasie otulały się w sen.

Wyjaw mi ją przez łzy stłumione, przez wahający się uśmiech,  
przez oną błogą wstydlivość i ból — tę tajemnicę serca.

„CHODŹ DO NAS, MŁODZIEŃCZE, wyznaj nam szczerze, skąd ten szal w twoich oczach?”

„Nie wiem, z jakiego maku dzikiego napilem się wina, że taki szal w moich oczach.”

„O hańbo!”

„Tak, jedni są mądrzy, a drudzy szaleni, jedni są czujni, a drudzy bez troski. Są oczy, które się śmieją, i oczy, co płaczą — a szal jest w moich oczach.”

\* \* \*

„Młodzieńcze, przecz stoisz tak cicho w cieniu tego drzewa?”

„Stopy me zmęczył ciężar mego serca, i oto cicho stoję w tym cieniu.”

„O hańbo!”

„Tak, jedni wędrują swą drogą, a inni spotywiają, jedni są wolni, a drudzy w pętach, zaś stopy me zmęczył ciężar mego serca.”

(C. D. N.)



## ANIMA MUNDI.

JADWIGA MARCINOWSKA

*(Fragment powieści.)*

Jako obraz sam w sobie, ramkami przyćmionego złota odgradzony od zjawisk — i lat, malowany sposobem miniatur w średniowiecznym brewiarzu, przyblakły i spokojny, tchnący smutkiem anioła — żyło w myślach Wojciecha wspomnienie owej chwili i tej — z pokornym, starym księdzem — rozmowy...

Przedtem była noc... Coś zapewne około czwartej godziny... Czarno o tej porze, aczkolwiek — wiosenna według roku, bardzo gorąca cejlońska noc w głębiach wyspy... Powietrze nie zdołało ostygnąć po dniu, ciemność przysłała, pragnień pełna i szeptów, siostra znoju dziennego, dysząca tajemniczo.

Splątana „dżungla“ trzymała straż tuż przy domu.

Nagle w tej głębokiej jeszcze ciemności ptaszek jakiś począł śpiewać samotnie a tak przecudnie, że porwawszy się ze snu nie można było zebrać zmysłów z podziwu... Czy to jest niebo zniecka nachylone nad duszą? jakie niebo? W gorącej, czarnej ciszy ta jedyna piosenka leciała strzelście i niewymownie słodko — dokąd? — dokąd? do kogo...?

A tymczasem objęcia nocy już stopniowo nasiąkały szarością, w której się kir jej stopi...

Po godzinie piątej należało już wyjść z domostwa w jeszcze senną krainę, albowiem ociężały prze-pychem dzień wstaje późno, zasię wstawszy, rozplómienia się zaraz pożądaniem należnej mu władzy i bardzo szybko pożera ranne chwile...

Dokoła wioski ze wszystkich stron gąszcze lasu; ulicę w środku srebrzysto-siny mrok zalegał, toniejąc, i jeszcze zupełny spokój. — Gdzieśgdzie przed budynkiem stały dwukolne, wysokie i kryte wozy. A tuż za wioską skręt nagły — prosto w „dżunglę.“

Objęło parne tchnienie z nierozwidnionej gęstwiny. Gorąco tu, szaro. cicho. A przecież jest i — czai się życie...

Tajemnicze nieopisane odbywają się może wśród zwikłania siwych gałęzi...

Dziwne życie! Uznojone własnem bogactwem tak, że mu ciężko drgnąć zrana. — Zasluchane we własną namiętność i niespokojne, choć rozkochane w swym czarze... W ciągu dnia płomienieje blaskiem takim wspaniałym, iż żąda za spełnieniem zdają się w jedno zlane... Ale o poranku czuć w niem namiętność... Że przesycone jest — a niesyte... Ciężko marzy i wzdycha...

Oto schody szerokim a stromym gościńcem w skałe kute... Puszcza po obu stronach pnie się wraz z wędrownikiem do góry... Mihintale, w starożytności Missakpabata, to właściwie jest nagła skała zjawiona na płaszczynie i w lesie. Takie niespodziewane wpośród równin występy należą do osobliwości Ceylonu...

Dżungla dzisiaj obszyta zbóża gęstą po szczyt... Zwarta, zielono-siwa i wonna, w dniu nagrzana pocałunkami władcy-słońca... Rezeblała się nad tysiącem poszarpań skalnego łona, nad mnóstwem pieczar, ongi służących za mnisie cele, nad oblankami licznych schodów i ruinami klasztorów.

Niegdyś w każdej jaskini mieszkał tutaj, samotnik rozmyślający w spokoju o skarbach Dhammapady... Może np. o tym ustępie: „Długą jest noc bezsennemu, długą milą utrudzonemu wśród drogi, długiem życie głupiemu, który nie poznał prawdziwości prawa...“ Albo: „Niemasz bólu dla tego, który ukończył swą drogę i opuścił wszelkie zmartwienia, oswobodził się ze wszelkich stron i postrzącał wszystkie okowy...“<sup>1)</sup>

... „Który zbył się łatwowierności, lecz poznał, co niestworzone, który odciął od siebie węzły wszystkie, usunął wszystkie pokusy, wyrzekł się wszelkiego pragnienia, ten zaiste jest największym wśród ludzi.“

We dni one po stokach, gdziekolwiek znalazło się miejsce ku ustawieniu choćby szczupłej budowli<sup>2)</sup> wznosiła się pansala albo wihara. W istocie górę całą przeistoczono w jeden ogromny a osobliwy klasztor, którego szczątki i ślady spoczywają dzisiaj w objęciach tej pachnącej puszczy i śnią...

O, koleje światła o losie...!

Czy ty słyszysz, wędrowcze, tam nad dżunglą wysoko łopot wielki w powietrzu? Wiatr głaszcząc żółte szaty... Lecą dziwni ptakowie, nie skrzydłaci, a skorzy... To król wicz Mahinda z Dżumbu-Dwipy tak spieszy, a z nim mnisza drużyna; wiatr im w szatach szeleści...

Kiedyż sprawa się dzieje?

Pocóż pytać? Azali czas nie jest także uludą?

<sup>1)</sup> Dhammapada.



Maharadziradz, królów król, najpotężniejszy Asoka śle tu syna Mahinę z nauką wielkiego Buddy; królewicz ewangelista powietrzem w pośrodku leci, a z każdej jego strony i pod nim i ponad nim czterej mnisi przydani; za żagle szaty im służą...

Opuścił się Mahinda na Lanę<sup>1)</sup>, ten klejnot śwata, na barkach góry stopami stanął i czeka...

Poluje Tissa, król Lanki, bogom oddawna miły... Poluje król, las zagadał, pełno jest głosów i tententu i wrzawy... Poluje król, lania sady, oszalała trwoga, wciąż wzwzy... Za nią w tropy! hej! za nią!

Podniósł się w cichym ruchu jakiś mąż nieznamy: „Przystap bliżej tu, Tisso...!” — „Kto do króla tak śmiało? Kto mnie wprost po imieniu?” — „Ucieszę serce twe, królu, słowami niesłyszanemi, umocnie serce twe mową, nad którą niemasz nic w świecie...!”

Nauca święty królewicz, słucha król i dwór cały. — „Przyjmuję twoją naukę, ja, Tissa, bogom wždy miły i ze mną tych moich oto dworzan czterdzieści tysięcy. — Zaś tę górę ci daję od podstawy jej aż do szczytu, na mieszkanie i łożę, do użytku zbożnego...”

Wzglądnie Mahindy jest na głazie wystającym gładko ze zbocza; ściana pod nim w dół spada stromym pędem w dolinę, widok stamtąd ogromny na rozległość mrowia leśnego...

Ale ty, wędrowcze, idź wyżej...

Schodki wązkie i trudne, ledwo znaczne pod trawą... Tuż przy ścieżynie pachnąca dżungla dyszy, ona z tobą wciąż w górę... We wczesne rano widzieć możesz, jak z szarej a potem z siwej przeistacza się w srebrno-zieloną; słyszeć możesz, jak oto. rozdzwania się wszechgłosami: szelestem, brzękiem i sykiem, pomrukiem, świergotem, — muzyką...

Ze szczytu puść po równiach swe oczy; las widzisz. wszędy morze niskiego lasu...

Nagle słońce wzeszło za tobą i w potężnej władzy promieni, hen! tam nawprost, hen! daleko! zasrebrzyły się i zagrały olbrzymie stawy Anuradzury; zarysowały się barki wzgórz bardzo dziwnych, które są kolosalne tej prastarej stolicy pomniki, „dagaby”...

To było przed momentem, malowanym jak w dawnym brewiarzu, przygaszonym kolorem, z cichym smutkiem anioła...

Nieopisany i rozmaity czar cejlońskiej przyrody nie mógł się wedrzeć głębiej w duszę Wojciecha. Było w nim tu obecnych obok siebie dwóch ludzi: jeden patrzył i słuchał, wiedział, iż to jest godne najdosłojniejszych uniesień, przypominał sobie swe dawne kiedyś zdolności zachwyty, ale już doznać nie umiał ani podać drugiemu. Zasię drugi ten czynił, jak ktoś owładnięty jedną myślą upiorną, która wewnątrz wyżera... Kwiciste i bajeczne, przeczudne i przesłodkie piękno uroczej „Lanki” spływało po tych piersiach jak balsam nadaremny nieodczujcie pieszcoty. W mózgu Wojciecha przebywało ciągle wrażenie tej czerwieni w powietrzu, kiedy widział. — Nienawiść... Trwała w nim nieustannie pamięć szkarlatnej, wzburzonej, dziwnej fali, na tle której ofiarność przetrwała się w gniew a pogodny głos panny Webston nabierał dźwięków syczenia... Ujrzał Nianawiść — tak, że nietylko zapomniećby o niej nie mógł, ale — na nic już nie spoglądał w oderwaniu od tego widma; obecność Nienawiści wypełniała mu dno wszystkich zjawisk. Chwilami miewał w sobie poczucie, że ogarnia — przeraźliwie wyraźnie — od końca w koniec wielki indyjski świat. Było mu, jakgdyby stał na krańcowym, wysuniętym ku równikowi cyplu Ceylonu, w Dewanderze, kędy ocean całą szerokością swej wiecznej piersi przychodzi uderzać o odrobinę podanej k'sobie ziemi; kędy pod koronami palm niezmiennie zielonych, kołyszanych oddechem z ruchomej przepaści wód — tmy wiotkich i nagich, ciemnych ludzkich postaci w bryzgach fal oplukują stopy czaszek wlochatch, rozlupanych czerepów z orzecha kokosowego... Jakgdyby stojąc, z twarzą swą ku północy, przemierzał stamtąd oczyma przeświadczenia wszystko nieublaganie aż do linii śnieżnego zamknięcia Himalajów...

To jest olbrzymia przestrzeń — religijnej ekstazy... Ha! Nienawiść wypełnia wszystkie zjawisk szczeliny. Ekstaza unosi się ogromami słonecznych mgieł — pod wieczyście oślepiając niebo, ale Nienawiść pomiędzy drgnienia złotych promieni wpuszcza prądy czerwone... Widział Indyę! równiny rozpalone, na których wytrawia się w zamyśleniu życie; setki uświęconych miejsc wiekowego kultu jak tyleż ognisk rozżarzonych myślą człowieka, setki tysięcy pielgrzymujących ascetów. — Rysowała mu się w wyobraźni dokładnie srogosć sepih profilów, z świecącego brązu odlanych i wysokość czoł wygolonych... I nawet lotusowy uśmiech mistyczny, urodzony w źrenicach i na wargach odbity, w podejrzeniach jego przybierał odblysk szkarlatu... Religia..! Przeciwko czemu w duszach tych pogardliwych uniesienia dni terażniejszych wiążą się z pojęciami, które znieruchomiały w słońcu od wieków tyłu? Nieugięta spuścizna religii tworzy dookoła Indyi obronę, splot subtelny, — najcięższy, odgradzającą się z płomienistych włókien — nad wszel-

<sup>1)</sup> Indyjska nazwa Ceylonu. Właściwe znaczenie wysy.

kie próby... Moc dziedzicznej religii, jak potęga pożaru inne uczucia niweczy... Przeciw czemu i na co religijny geniusz milionów zaprzęgniony wieczyście do rydwanu Wisznu i Sziwy? Pożar ekstazy pali się na równinach najdziwniejszego ze wszystkich krajów świata; Atman! Atman! odrywają się myśli od wszystkiego, co mija; sieć spuścizny odgradza od zewnętrznych wpływów i tchnień; duma wysokich lotów odpowiada bez wahań: „Posiadamy, cokolwiek pomyślanem być może w dziedzinie boskiej wiedzy o Istotnym, Jedynym...”<sup>4</sup>

Czy widzicie, jak w słońcu skry czerwone migocą?

Nienawiść potajemnie prądami swemi działa...

Bronią się Indye — przepaścistą przeszłością i oślepią ekstazą przeciwko Słowu, co w Betleemie zjawione, przetworzyć pragnie świat...

A tu bliżej, tu bliżej, dookoła stóp wędrownika, na precudnej wyspie, gdzie objęcia oceanowe miarkują żary powiewem i darują deszcz ziemi, gdzie wśród przepychu roślinności nieporównanej snuje się ród węższy od braci swej z Aryawarty, ród dzisiaj miękki, posiadający zda się, cechy kobiece, chociaż od lwa się wywodzi...<sup>1)</sup>

Życie tutaj łatwiejsze, płomiennosci w ascezie niema; gościnnie dla każdego pootwierane przybytki z natłoczeniem posągów Buddy, ludność garściami znosi im główki kwiecica, na gołonych twarzach mnichów widnieje powściągliwość chłodna, a czasem — rodzaj stygnącej nudy...

Spokojnie, spokojnie odcinają się tutaj nici i więzy, łączące z tętnem życia, spokojnie mędrzec od wszystkiego odchodzi w głębię swa i rozważa... Rozpoznał i rozdzielił składniki tej uludy, która nazywana bywa w niewiedzy — osobowością człowieka, ujrzał spokojnie, że rozwiązują się one po krótkiej chwili rzekomego istnienia i toną we wszechświecie... A nad wszechświatem tym myślą nachylony, ujrzał jako i on z kolei roztopia się w mgłach bez nazwy i zgąsa. Ujrzał później, zrozumiał doskonałą wolność Nibbany<sup>2)</sup>.

Wśród bajecznego przepychu roślinności nieporównanej łatwo snuje się życie, które jest jednakże — cierpieniem. Spokojna mądrość rozważa, jak wyniszczycy korzeń cierpienia... Spokojnie, spokojnie odcinają się węzły od tętniących uczuć i żądz, żaden czynnik składowy nie ostoi się już w momencie rozwiązania uludy i nie przetrwa w wszechświecie jako ziarno narodzin do nowego cierpienia; doskonały wie, jak się wszystko gasi... Rozważająca mądrość mówi z chłodnym uśmiechem: „Od wieków posiadamy, cokolwiek rozpoznany być może; czegoż nauczyć podolać nas — wy?!“

Dla zapatrzonych w jedno oczu Wojciecha i w obfitości kwiecica sypanego posagom Tathagaty przez świeckie dłonie gorliwych „Upasak'ów“<sup>3)</sup> i w zwojach ciemno-żółtego płaszcza mniszej rozwagi tały się skry czerwone...

Spokojną pychę głębin wielowiekowych i odchodzeniem od świata zasłania się wielka, litościwa a chłodna mądrość przeciwko Słowu, któreby chciało właśnie przetworzyć świat...

Lechowicz miał chwile zdawania sobie sprawy, że może uleść rodzajowi upiornej sugestyi, zasłaniającej tem jedynym widmem czerwonym wielobarwność i jasność życia. Wtedy na mgnienie ujmował obu rękoma ciężką głowę, jakgdyby usiłując zatrzymać w niej kołowrót, w którym migaly odbłyski szkarłatnej fali... Alści niebawem oczy zapalały się żywym bólem — to nie jest upiór ale prawda koloru, okropna pożerająca nadzieję...

Indye nie są li tylko sobą... To wyniesione pod słońce oko świata, to dla współczesnych wielu tęsknot światowych — królestwo religijności w słonecznym roziskrzaniu... Przychodzą tutaj, którzy zwątpili w Chrystusa... Ze wszystkich krańców ziemi — niechętni Chrystusowi... Uciekają tu nie wierzący, iż Słowo Ciałem się stało, by rzeczywiście, dotykalnie przetworzyć świat... Poszukują tutaj pociechy i — kuja w słońcu broń. W fałdach serc swych przynoszą te same skry czerwone.

Zewsząd strumienie wzburzonego szkarlatu...

O, spójrzcie tutaj w nieogarniony, zawrotny, słoneczny, szal; to nie jest światło białe...! Nie stopiły się barwy w jednolitość najwyższego wyrazu... Niech was oczy nie mylą, odróżnia się prąd wibrujący... Widzicie jak tu w powietrzu czerwono...?

Anuradhapura<sup>4)</sup> jest najdziwniejszym cmentarzem... Wytrzebiono pewną część dżungli zarastającej obszar zmarłej stolicy... Wyłoniła się Mahamega, przesławny ongi i ogromny ogród założon ku rozrzutnej

<sup>1)</sup> Singalezi od Sinha, lew.

<sup>2)</sup> W języku Pali, w Sanakrycie Nirwana.

<sup>3)</sup> Upasaka — pobożny człowiek świecki.

<sup>4)</sup> Dzisiaj Anuradhapura.

uciesz przez króla Mutasiwę, zasię z pobożności następcy jego Tissy, — Dawanampiji czyli bogom milego, — oddany bractwu mnichów...

Na płaszczynie wielkiej i nieskończenie spokojnej w rozmaitych odstępach stoją drzewa wysokie, rozłożyste niezmiernie, z drobnych listków jakgdyby do akacji podobne i osypane jak w cudzie najprzełicznijszym kwieciami różowem... Wyrastają, gdzie dorodniejszy, zwarty gąszcz uprzątiniono. Krzewy niskie i żółtkłe z suszy kępy wysmukłych traw siedzą przy ziemi. Zasię dosłownie wszędzie sterczą lub leżą kolumny albo potrzaskane kolumn obłamki, szczątki stopni i płaskie progi z wyrzeźbioną w kamieniu pełnią księżycą... I usiane jest to przedziwne pole — obfitością kamiennych dzwonów wszelakiego rozmiaru. Wznoszą się na podstawach czworokątnych i mają wysmukłą a spiralne zakończenie u szczytu...

Nad równiną — dwie góry. Na wyższą wniósł się stronie i utrudnione po osobliwej, oślizgłej ścieżce — ceglanej — wpośród krzaków i traw; boki obrósł drzewami. Z wierzchołka widok naokół rozległy i jakże śliczny! Srebrne zwierciadła dwu ogromnych stawów świecą na wschód i zachód wielkiego ogrodu — cmentarza; trzeci, mniejszy staw ku północy. Ukojony rozlew tych wód srebrzystych i cichych i różowe korony olbrzymich drzew w pełnym kwiecie kładą dziwny czar na ruiny...

Kwiaty...! Niegdyś nie co innego, jeno właśnie ta góra okrywana była bardzo szczelnie wieńcami od podnóża po szczyt... Bo to nie jest wyniosłość w miejscu tem przyrodzona; wieki zapomnienia cichemi dłońmi kładły ziemię na powierzchnię ceglana; wszechobecny instykt życia zawładnął posterunkiem bezpiecznym, z pokory przygodnych nasion wyhodował bujną odzież zieloną... Ale był czas, kiedy te obie góry i trzecia — dzisiaj w dżungli głęboko, widniały tu jako — rozmiarami pojęcie przechodzące kolosy dzwonów nakrywających relikwie „Doskonałego“...

Czcigodną i błogosławioną jest wszelaka piędź ziemi, na której dokonano się wydarzenie jakoweś z historii Tathagaty lub —któregoś z „Arhat'ów“, <sup>1)</sup> jeszcze świętszem i czcigodniejszym miejscu, kędy spoczywa pozostałość jakowa, szczątek, albo chociażby — ze szczątku odrobina, szczypta popiołów, ocalony paznokieć lub włos...

Cierpieniem i zbiornikiem nędzy jest ciało, nauczał Tathagata; przemijającym połączeniem przemijających składników jest ludzkie ciało... Aliści nie upłynęło parę wieków, jak wbrew nauce, nieśmiertelna potrzeba umierających serc ludzkich jąta czić — marnę ślady... Urodziła się chciwość posiadania relikwi, i targ, i walka o nie... „Dagaby“ kształtu dzwonów z rękojeścią spiralną ponakrywały — okruchy i wspomnienia... To są kaplice grobowe... W miarę, jak nauka szła, zalewając świat azyatycki, osiadały jak skamieniałości przedziwnego wytworu fal... Tysiącami dzisiaj stoją i świadczą: na Ceylonie, w Birmanii i na Jawie... Od maluczkich jak zabawka dziecięca — do potwornego ogromu istnych gór...

Kwitła Anuradzapura...! Szeroko i długo ciągnęły się w cudownym mieście ulice wysypane w poródku piaskiem białym a kolorowym po bokach miast chodników. Na poprzek onych dróg; w odstępach a wysoko, łuki z bambusu, oplecione wieńcami i chorągwie przy nich srebrne a złote... Naczynia z pachnidłami dość gęsto pomieszczone, które syca powietrze wonią i kapliczki przydrożne, a w nich posąg i posążki Buddy...

Nadzwyczajne zdarzenia dzieć się miały w dniu uroczystym, kiedy nawrócony król Tiss a ogród Mahamegę oddawał głosicielom nauki. Osm razy — zatrzęsła się ziemia z uznania, ze wzruszenia, z wielkiej radości... Dwa olbrzymie najpotężniejsze słonie ciągnęły złoty plug; król oborywał granice darowizny; przed nim i za nim orszak szedł wielotysięczny i świecący przepychem klejnotów i szat; płynęły fale ludu...

Mahamega zabudowała się też — po królewsku, choć dla mnichów oderwanych od świata... Niezle się świętym ludziom tu działo; w południowej stronie odgrzebanego wielkiego ogrodu zwraca uwagę czworobok z niewysokich kolumn kamiennych, jest ich tysiąc podobno, ustawione są w czterdzieści szeregów. — To pozostałość jedyna z „Lohama-hapasady“, pałacu brązowego. Kryty był dachówką z brązu, na dachy pięter wyniesiony, a świecący jak przybytek w niebiosach. „Tawatinsa“, tak kronika powiada... Najświętsi z mnichów zajmowali piętro najwyższe, a potem według stopnia doskonałości, — aż do dołu.

Złocą się żółte trawy na płaszczynie — zarosłej pomnikami, wśród rozsypisk i ruin szeleszczą złote trawy. Kolosalne „dagaby“ z barkami wzgórz zielonych spoglądają w zwierciadła ogromnych srebrnych stawów; na krajobraz wszystkich splywa czar jagodności od drzew kwitnących różowo...

Cicho, cicho... Gdzieniedzie u podnóża zapomnianej dagaby na zniszczonym ołtarzu wiązanka świeżych lotosów; dłonie pobożne kładą je, odwiedzając, stopy pobożnych pielgrzymują od śladu do śladu.

Cicho... Różowość drzew dookolnych splywa czarem słodyczy.

<sup>1)</sup> Arhet — święty budyjaki t. j. uświadomiony

Dlaczegożby pod takimi drzewami nie miało ongi rozegrać się spokojne, krótkie a doniosłe zdarzenie...?

Siedział Mędrzec, może zarazem król albo ksiądz z królewskiego znacznego rodu, „upasaka”, tywiący zamiar wyrzeczenia się wrychle świata.. Ubiór na nim jeszcze bogaty, dostojenstwu właściwy... Naukę posiadał głęboką, widać to z mądrych oczu...

Siedział naprzeciwko księcia „Bhikku” z czarką zebrać, jak wyszedł był, by uzbierać dla się dzienny posiłek, od domu chodząc do domu...

Świeciły im się po nad głowami w potężnych drzewa konarach jakgdyby gwiazdy — kwietne kiście różowe...

Przemówił „Bhikku”.

„Lohamapasada oczekuje na ciebie, wielki Radzo; dlaczego odwłoczysz swe przybycie? Azali nie spojrzales jeszcze na świat ten jako na bańkę powietrzną i na złudę?”<sup>1)</sup>

— „Zaiste, marną bańką z powietrza jest świat ten i jest złudą” — odrzekł Radza.

— „Łabędzie odlatują szlakiem słonecznym, łabędzie w sposób cudowny płyną szlakiem eteru; mędrzy odpywają od świata; zwyciężyli oszukańczego Marę i orszak jego...”

— „Zaiste jako łabędzie odchodzące szlakiem słonecznym odpywają mędrzy od świata...” powtórzył Radza z przejęciem.

— „Z miłości rodzi się cierpienie, z miłości rodzi się również trwoga; którzy nic nie miłują ani też ku niczemu nie żywią nienawiści, nie doznają więzów nijakich...”

A przeto niech nie miłuje człowiek nic, bo utrata miłowanego to ból czyni. Kto wolen jest od miłości, nie zna troski ni trwogi...”<sup>2)</sup>

Radza nie powtórzył tym razem; zamyślił się, patrząc w górę, kędy wpośród gałęzi świeciły się jakby gwiazdy kwietne kiście różowe.

Rzekł po chwili milczenia:

— „Zanim odejdę od świata, jeszcze w podróż jedną puścić się muszę...”

Posłuchaj mię, o, Bhikku!

Jako słodycz tych kwiatów ponad czołem twojem i mojem, tak od pewnego czasu wschodzi oczom moim co noc — różowość Wielkiej Gwiazdy... Nie widywałem jej nigdy przedtem, aczkolwiek wszystką obfitość gwiazd na niebiesiach rozpatruję zdawna i znam...

I słuchaj mię, o, Bhikku!

Stoi Gwiazda ona nietylko nad nizkością skroni mych, lecz nad duszą. Oczyma duszy widzę ją jak przedziwny, różowy, cichy kwiat. Woła dusze moją gdzieś w drogę...

I posłuchaj mię jeszcze, o, Bhikku!

Azali to nie może być teraz właśnie czas narodzenia nowego Bodhisatty, który stanie się znowu uświadomionym Najwyższym, jak był Gautama Budda i — jeszcze szerzej otworzy się we wnętrzu człowieka Oko Prawdy i jeszcze dalej potoczą się święte Koła Królewskiego Wozu ze zbawczem Prawem...”

Ale Bhikku potrząsnął czaszką goloną

— „Gdzie jest — dusza? o, Radzo! Wrażenia są i pojęcia, wyobrażenia i wiedza; powiązane one z sobą na chwilę, rozwiązują się i już z nich nic niema!

Zasię co do narodzin nowego Bodhisatty, o, Radzo! jam nie słyszał nic wcale! Wiem, iż Tathagata wprawił w ruch święte Koło Królewskiego Rydwanu Prawdy, co zatrzymanem już być nie może, ani cofnionem przez człowieka ni Boga... I jest ona Wielka Prawda w poczwórnym swoim składzie; i pamiętaj i rozważaj o Radzo! Prawda o cierpieniu i prawda o przyczynie cierpienia, prawda o zniweczeniu cierpienia i prawda o sposobie prowadzącym do tego... W tem się wyczerpuje wszystko, o, Radzo!”

W konarach potężnego drzewa świeciły się przenaśladzące, różowe, kwietne uśmiechy, jak wejrzeń wieczornej gwiazdy, wołającej na duszę człowieka. —

Podniósł się Radza po milczeniu w długim namyśle:

— „Nie mogę, o, czcigodny Bhikku! nie mogę. Widzę w sobie — dziwny promień gwiazdzisty, jak gościniec mi ściele... Muszę iść, abym ujrzał, czy nie narodził się przecie Bodhisatta nowy, ten który jeszcze głębiej i szerzej Oko Prawdy rozewrze, jeszcze dalej i dalej Rydwan Prawdy powiedzie...”

<sup>1)</sup> „Dhammapada.”

<sup>2)</sup> Podług Dhammapady.

Wydał sługom rozkazy, przystrojone są wnet słonie pyszne i woły w jarzmie zaprzężone do dwukolnych wozów wysokich. Spieszy Radza gościńcem, dotąd sobie nieznanym, co noc go Gwiazda prowadzi... Aż po nocach tych bardzo wielu na niebieskim stropie stała ponad ubogą stajenką w Betleemie...

Albowiem był to jeden z owych trzech mędrców, którzy od wschodu...

Wyobraźnię Wojciecha opanowała ta opowieść zrodzona na cmentarzysku Anuradżpury, kędy stawy się srebrzą i różowiają się drzewa... Uwiła mu się gdzieś w głębinach mózgu — czy duszy z połysków tego srebra i z czarów tego kwiecia i może jeszcze z pamięci, która w powietrzu trwa poprzez wieki... Zdziwiła go samego, wynurzając się jak wiadomość powiedziana przez drzew tych bukiety i we zwierciadle tych wód... Uwierzył jej; gwiazdzistością różową łągodziła mu zmoreę czerwieni... Ale — trwała chwilę i padła jak rozsypujące się płatki kwiatu.

Cicho, cicho..! Czy powrócił Radza z dalekiej za promieniem gwiazdnym podróży? Czy przywiózł wieść o Narodzonym w stajence, który jeszcze głębiej, w człowieku Oko Prawdy otworzy..? Cicho... Wieki minęły... Wśród rozsypisk i ruin szeleszczą złote trawy... Gdzieś u podnóża zapomnianej dagaby ocalony posąg Gautamy Buddy z twarzą, na której leży tajemnicza subtelność wyrazu z niewymownie lekким odcieniem ironii wkoło ust...

(DOK. N.)



M. Kubicka dla J. Halewima — Romanowa (Ilustracja)

## MISCELLANEA.

## KONIEC EPOPEI.

(DOK.)

## IV.

W tomie II, słabszym zresztą, mniej skupionym, i przez to mniej mocnym w ekspresji, zaznacza się drugi szczybel upadku Napoleona: osłabnięcie ducha w armii, demoralizacja żołnierza. Równocześnie to perpetuum mobile autpsugesty moralnej Naczelnika, wyczerpuje się moc sugesty względem mas, z zachwianiem się pomnika idei wewnętrznej wodza, chwieje się i zanika szalony ideały walczących. Tutaj historyk podaje rękę pocie: przewija się myśl, że jak z rewolucji powstał, tak od rewolucji zginie Bonaparte. Prawo... odwet... sąd Boży...

Goraz mocniej występuje, coraz świadomiej, absolutna przemiana w Napoleonie. On wzmawia w siebie (str. 56, 1-y) że jest wszakże tym samym człowiekiem, a my wiemy, że już nie, i rozumiemy, że gdyby nie właśnie fakt przelomu, nie byłoby potrzeby negocjowania.

Występuje teraz fatalna obawa ustąpienia Burbonom. On, który zwyciężył niepokonaność, jaką jest rasa, czuje, że cała jego natura będzie zniweczona, jeżeli z kolei to prawo przyrodniczo-socjalne weźmie nad nim górę, obali cesarza-parweniusza na rzecz rasowca — Burbona. A zniweczenie jego natury, to nietylko wyrugowanie na długo pierwiastku boskiego z rzeczy ludzkich, ale w stosunku do Europy to zabicie ducha Zachodu.

Ta walka dwu światów — północno-wschodniego z południowo-zachodnim, to najistotniejsza treść tomu II-go. „Miskwa pogrzebała największego ducha Zachodu“ (str. 176.) I dlatego z rozpaczą śledzimy tę tak znaną klęskę Wielkiej Armii przejmując się po raz kolejny tą tragiczną świadomością, że r. 1812 zapewnił na nowo bytowanie barbarzyństwu, ocalał Wschód. Symbolem tego świata jest księżna Zeneida, której zielone oczy przypominają całą Północ... Niezmiernie ciekawy jest dualizm tej postaci: na dzień niezaprzeczona niechęć do najęźdźcy, bunt jednostki przeciw szperzonej poźodze, pewna rywalizacja duszy z duszą wyższą o kilka szczebli, lecz polirewną — i tu punkt załamania: na tle pokrewieństwa dusz, olbrzymia miłość dla władcy, miłość, która wazytko przebacza z rozkoszą, której instynktem jest ocalenie Jego, lubochanego. Pociąg Zeneidy do Napoleona jest żywiołowo silny. Jest to nienawiść Wschodu do kultury Zachodniej — laniąca się z chęcią zbliżenia i utonięcia w tym Zachodzie skomplikowanym, wyrafinowanym, a jednak wrogim — — — magnes, który przyciąga, mimo, że zimno jego dręczym przesyć może — — — I ostatecznie w Zeneidzie świąty pociąg zwycięży — pójdzie tam — gdzie miał być Postęp — Ale zapóźno.

## V.

Najsłabszy, najmniej do budowy całości potrzebny jest tom III. Bardzo zajmująca, kunsztownie i psychologicznie ze znawstwem dyalogowana rozmowa z Metternichem nie jest przy tej koncepcji całości pożądana.

Jest za efektywna. Tutaj odpowiedniejsza byłaby metoda Victora Hugo: powtarzanie przez Napoleona wciąż pytania w duszy, pytania Bogu: „czy to kara“, lub coś w tym rodzaju, gdyż nasz poeta bardziej z kosmicznego niż z etycznego wychodzi stanowiska. Tam Cezar rozmawia z Bogiem, równy z równym, tajemnicę ich rozmowy tylko genialny słuch wielkiego romantyka mógł wyrwać Zaświatom, tutaj Napoleon już z widocznie, z namacalnie odsłania i ujawnia niemoc ducha swego, niemoc większą bodaj, niż ta, której stopnia byliśmy świadkami. Bo na samym początku tomu III — Bonaparte postanawia stworzyć sobie pokój! Pokój! on — bóg wojny! Więc już załamanie, zwłaszcza że nie z jego potrzeby wewnętrznej, ale z jego nieemożności akcyi ma on wypłynąć. Ale — stworzył! Więc nie kapitulować, tylko zmienić front! Jeszcze czuł się twórca, jeszcze miał linię wytyczną, wprowadzić pod kątem do poprzedniej, ale jasno i mężnie wytkniętą. Aż tu ten zamęt w myślach! To rozpadanie się w gruzy tej największej wielkości świata nowożytnego wobec jednego zdolnego ministra! To brutalne uzewnętrznienie procesu, któregośmy nie oglądali — wbrew dotychczasowej technice, raczej wewnętrznej, jest przedewszystkiem niedość artystyczne, a i psychologicznie nieumotywowane. Bo niepodobna przypuszczać, by jednostka tej miary zareagowała tak ujawnie, a piorunująco na niezycylną obecność tyle mniejszego od siebie. Musiał być proces przygotowany i to długi lub strasznie intensywny; winien go być ukazać poeta oczom tych wybranych, którym dane jest wraz z nim przeżywać „Koniec epopei“, ale Metternich powinien się być więcej domyślał, a mniej dowiedzieć. Tak, nawet, jeżeli rozmowa ta jest ściśle historyczna! Już Balzac powiedział, że nieprawdopodobieństwo życia przechodzi w dozwolone nieprawdopodobieństwo w sytuacjach powieściowych.

Po tym epizodzie, mało już daje tom III istotnej treści. Są to epizody rozstrzelone, autor, rozdrabnia się, czyni wrażenie, że mu brak siły do doprowadzenia do końca olbrzymiego planu, jaki sobie zakieślił, tak jak Bohaterowi jego zabrakło mocy do wykonania swego zamiaru. Ze zbyt licznych szczegółów podkreślić należy jeden: postać ulana niernego, Wartalowicza, najbliżniejszej, wiecznie na nieobjawienie skazanej duszy w otoczeniu bliższem i dalszem cesarza.

Epilog obejmuje pobyt na Elbie i Waterloo, wreszcie zgon na św. Helenie. Nie jest on tej mory, której spodziewać się było można, sądząc z tomu I-go, ale jest tu znów kilka momentów przepięknych. Przedliczenie pomyslane jest wyrwanie Napoleona z Elby przez miłosną podzw księżny Zeneidy; olbrzymia moc i siła potencjalna umyślnie wcielają się u Tetmajera w kobietę, aby z tem większą naturalnością wywołać ostatni przewrót w duszy padającego Tytana: wcielenie to jest tego rodzaju, że wszystkie fibry nietylko nadludzkiej ale i ludzkiej istoty muszą wibrować w Napoleonie.

I przez nią dokonywa się 100 dniowe panowanie. Ostatnim impulsem do czynu jest i tu przyjazd księcia Bassano z wezwaniem powrotu w imieniu Francji, tak jak niegdyś ostatnim powodem kłęknięć ostatecznej był pożar Moskwy, ale i tu i tam przeczniczenie było w nim samym. Pół zwycięstwa pod Lutzen i Bautzen zakiełkowały w psychicznym rezultacie widzenia się z księżną. Tylko, że ongiś Bonapartemu niczyja pomoc w niczem nie była potrzebna, tylko że w jego istnieniu musiało wszystko być jego własnym dziełem, albo — nie był Lutzen i Bautzen były dziełem jego i księżnej, jak całe zerwanie się Orla do lotu było jej dziełem wyłącznie — i dlatego następstwem nieodzownym było — Waterloo.

Na św. Helenie skołał „człowiek Europy”. Obosieczna nazwa! Najpierw był panem, potem niewolnikiem Europy, w obu wypadkach był jej człowiekiem, zaiste. Był tak wielki, że nie go shanbić nie zdołało, przeciwnie bloto na niego rzucane, Anglię obryzgało.

Skołał z uśmiechem, bo któż jeśli nie on miał wyraźniejszą świadomość, że dopiero z tą chwilą otwiera mu się raj Niebytu po mękach bytowania, tem większych, im większa na świecie suma rozkoszy i chwaly?..

„I uśmiech ten będzie trwał do skrócenia świata .... skołał pozostawiony samemu sobie i chwale.”

W zakończeniu Epilogu jest Bezmiar piękna.

## VI.

W ostatnim dziele Tetmajera kilka zaledwie jest kartek budzących podziw, bezwzględny, ale są to stronicie tak genialnie pomyślane i wypowiedziane, że więcej miałoby się ochotę powiedzieć o nich, niż o reszcie pracy, o samej opowieści. Mam tu na myśli t. zw. „Wstęp”. Jeżeli prawdą by się miało okazać wyrażenie przyalowiowe, że „Koniec wieńczy dzieło,” to należałoby z tych kilku pysznych myśli utworzyć raczej komentarz końcowy; w każdym razie przy omawianiu dzieła umyślnie zmieniam kolejne następstwo stronic, aby wyeliminowawszy wszystko, co wątpliwe i co piękne, zwrócić się do tego, co wręcz doskonałe.

Ten „Wstęp” Tetmajerowski to zamknięta całość. To precudowna pieśń o Napoleonie, najoryginalniejsza z wyspiewanych dotychczas, a wyspiewana na harfie przebogatej w tony, łączącej struny minorowego liryzmu z męską tężyzną myśli badawczej. Jest to poetycko i stylistycznie jeden z najpiękniejszych fragmentów prozy polskiej. Liryzm już samą swą nutą jest najbanalniejszą stosunkowo stroną tej dysertacji poetycznej. Rdzeń stanowi tu gigantycznie pomyślana i przeprowadzona z mistrzowskim ujęciem paralela między dwiema parami duchów — przewodników, „representative men” Emersona, skondensowanie ich niezmiernie treści w kilkanaście dźwięcznych, pełnych, krótkich zdań.

Pierwsza para — to Juliusz Cezar i Leonardo de Vinci.

Druga — Michał - Anioł i Napoleon Bonaparte.

O pierwszych powiada poeta, że oni „przyszli na świat gotowi.” Cechą ich jest zatem — doskonałość, jedynym ich wrogiem jest — czas, t. j. niemożność życia i tworzenia wiecznie. Cezar i Vinci podług Tetmajera — to opanowany rozumem konkretnym geniusz, lub też — jak się chce, wielki rozum konkretny podniesiony do potęgi geniuszu. Przerastają oni o niebo całe swą współczesność, więcej — realność wszelką wogóle, ale przerastają ją po linii jej własnego rozwoju, czyli zachowując z nią związek dość integralny, aby tworząc największe arcydzieła czynu i myśli, tworzyć je zawsze w pewnym stosunku, w pewne choćby dalekiej proporcji do świata zewnętrznego. Łączą w sobie idealnie wielkość pomysłu i jego zastosowanie, mają z góry byt zapewniony dla plodów ducha swego, bo choć są celem sami sobie, stają się nim dla wszystkich. Dlatego, dzięki temu stosowaniu na odmienną skalę praw natury i ludzkości, nawet przy częściowym burzeniu ich dla budowy nowszej — skończył każdy z nich swoje dzieło, Cezar stworzył swe imperyum, Leonardo osiągnął apoteozę twórczą.

Przeciwnie — druga para geniuszów: „Michał - Anioł nie kończy grobu Medyceuszów, Napoleon nie niweczy Anglii.” Oni nie osiągnęli swego celu finalnego, bo inaczej świat ku niemu dąży i inaczej go poczynali. Ich unosi namiętność twórcza, ponosi ich aż poza punkt właściwy, zenitowy i dlatego staczają się w dół, huk olbrzymi zakreśliwszy. Oni przechodzą rzeczywistość wszelką, nie mają jej poczucia, mają tylko samopoczucie, liczą się tylko ze swem pragnieniem i ze swoją bezpośrednią możliwością, do zmierzenia się ze światem realnym nie są przystosowani. Dlatego — rozbijają się o tę opokę, gdy tylko oko ich zmienia kierunek i z wnętrza istoty własnej w zewnętrzność wyziera.

Michał - Anioł i Napoleon są tak indywidualni, tak jedyni, że o naśladownictwie w czemkolwiek i mowy być nie może. To też nie są oni wzorami: są cudami świata, najwspanialszymi z jego osobistości w dziedzinie ducha.

Cezar i Vinci to intensywność napęczenia woli i mocy aż do osiągnięcia superlatywu jakości, bo stopnia doskonałości męskiej a nieprawdopodobnej; Michał - Anioł i Bonaparte — to ekstensywność niezrównana, potęgę ekspansji, bezprzykładną zachłanność ilości wszelkiej w jakościach wszelkich. Kończącym iloczynem tego nieogarnionego działania — ruina w kształcie widnym, gloryfikacya w duchu.

Talanci posiadali uniwersalizm treści intelektualnej a nie wyżytkowali go świadomie, ci pragnęli ujawnić swój uniwersalizm indywidualny, egocentryczny w nieskończoności form....

Ciekawe jest zestawienie dwu największych artystów świata z dwoma bogami wojny. Ciekawe i głębokie. Bo wbrew pozorom — Bonaparte jest twórcą monarchii powszechnej, swej symfonii Niedokończonej. Któż tak, jak on, mógł intymną genialną ocenić jak mało waży to życie jednostki, gorzkie i zawodne, poświęcone tylokrotnie dla spraw innych, aniżeli dla uroku jedynego wśród stuleci Nadezłowiecka, dla związanej z jego osobą Idei mocy i postępu? On ocenił wartość momentu w stosunku do wieczności, znaczenie jednostki w stosunku do wyczystlenia, wagę promienną w zestawieniu z nieśmiertelnością prometeizmu, on nie przeceniał — więc wydarł ogień niebiosom i — oby go był mógł nie zwracać.

On wiedział, że instynkty wazelkie mocne są, póki wyłącznie działają, ale odróżniał moc od słuszności. Poznał, że samozachowawczość ludzi jednoatkę i dla tego jej nie uszanował, wolał, bodaj podświadomie, by Milion umierał dla tragedii jednego, symbolicznego Bytu, aniżeli żył i tamał się dla swej drogi — koniecznej rzeczywistości. Zawiódł go w końcu i jego własny instynkt rozpedu szalonego. Wtedy powiedział „du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.” Chciał może rzec przez to, że w analizie etycznej wszystko co ludzkie spoleży się na dwa składniki: wzniosłość, względnie żywiołowość, żapał duszy oraz bestyalność, mający stałe swój wyraz estetyczny w grotesce. Da się to zastosować i do krytyki dzieła Napoleona Wielkiego w imię etycznych formulek i prawideł humanitarnych w przeciwstawieniu do holdu dusz takich jak poeci i myśliciele, lub jak — Legiony Polskie Dąbrowskiego.

## VII.

Prometeusz odpokutował zuchwałstwo, ale iskra przez niego zdobyta rozetliła się w ognisko godności wazzechludzkiej. Św. Helena odwróciła od cesarza myśli i serca tłum, ale duch jego nie zagasł, zmartwychwstał! Victor Hugo dal wyraz uwielbienia, jakie powitało prochy cesarskie<sup>1)</sup>, szczątki tej olbrzymiej wielkości, której wyrzekła się zmaterializowana Francja, do ruin której wyciągnęła ramiona Francja romantyzmu. Epoka odrodzenia idei w sztuce, zwrócenia wartości świętemu zniczowi uczucia — uczciła trumnę Bonapartego — męża, co żądając w imię wolności swego: ja ofiar niewyzwolonej falangi, uszlachetnił świat! Lecz oczywiście, prawem historycznym niezmiennem przysłała reakcja materializmu i sybarytyzmu zarówno po Napoleonie jak pó zwrocie romantycznym. A gdy po długim okresie pozytywizmu i metod doświadczalnych, poezyi ateistyczno-filozoficznych i teoryi socjalistycznych — nastąpił zwrot do spirytualizmu, a nawet spirytyzmu i nauk okultystycznych, do symboliki nastrojowej w poezyi, impresjonizmu w sztuce — jedna dziedzina ekonomii stanęła na przeszkodzie dokonaniu się tego ruchu, ledwo zarysowanego. To jedno zahaczenie stało się pierwszą, podstawową przyczyną kataklizmu, jaki przyzywamy, tak podobnego rozmiarem, ale tak różnym treścią przyczynową, a zapewne i wynikową, duchem nawskroś fiskalnym od tego, jaki ruszył ziemię z posad 100 lat temu.

I teraz znowu z tęsknotą wyczekujemy nitylko „Końca epopei”, ale i odrodzenia moralnego, uduchowienia, odwagi do walki z panoszącą się materją; hasłem do czynu będzie między innymi każda pobudka artystyczna. To też i z tej racji wysokiej koncepcji Tetmajerowskiej przypada w udziale poważna rola historyczna: jako zwiaśtunco ideału wkrzeszonego, jako wyrazowi odporności ducha polskiego, który w epoce powszechnego wyjąłowania: zdobył się na potęgę w nie — aktualności, tęskni za jwizją chwały przyszłej i wapaniałym gestem ukazuje przoeszłą.

I za to Mu — część!

1) Retour de l'Empereur. La légende des albatros, p. 25 r. 4 verso.

**MEMENTO!**

W jednym z dzienników lwowskich wyczytaliśmy pod tym nagłówkiem następującą korespondencję z Krakowa:

Dzienniki krakowskie podały krótką notatkę o tem, że w dzielnicy „Dębniki” znaleziono w zimnej stancyjce zwłoki artysty malarza Bienkowskiego.

Jak stwierdziła komisja sądowo-lekarska, śmierć nastąpiła jeszcze przed siedmiu dniami, a powodem był... głód.

A więc stało się tak, że w tych „nowych Atenach” — jak niektórzy nazywają Kraków, będący siedzibą najznakomitszych artystów, miejscem pielgrzymek, bo posiada święte Akropolis — Wawel, a więc stało się tak, powtarzam, że tutaj to, w otoczeniu kulturalnem, w najbliższem sąsiedztwie swej braci artystycznej, umiera z głodu artysta i że zwłoki jego leżą w zimnej stancyjce siedm dni, a nikt się o to nie zatroszczył i trzeba dopiero faktu, aby powiśtrze zostało tak zatrute rozkładającym się ciałem, że poczuły to psy sąsiedzkie i zaczęły wyc sraszliwie, aby naprowadzić ludzi.

I zapewne, że psy okazałyby większe od ludzi miłosierdzie.

Wszakże nie tak dawno temu, jak tu w Lwowie umarł również śmiercią głodową inny artysta-malarz: Stanisław Jaworaki. Nie był to orzeł, twórczość jego nie wzbiliła się w srozyty, lecz miał rzetelny talent i kochał sztukę gorąco. Zmieszany rozmieniać skarby twórczości na drobne, malować począł „kicz” dla handlarzy, aby mieć czem dzień przeżyć, z usposobienia lekliwy, zamknięty w sobie, nie posiadał tej energii, aby rozpychać się w życiu łokciami, więc gdy powołanie do niego nie przyszło samo, nie umiał o nie walczyć i zatracać zaczął wiarę

w swój talent. Powstaje tragedia artysty, która tak czy owak kończy się zawsze strasznym jakimś zgrzytem!

Kto tu winien?

Zapewne, że przedewszystkiem człowiek każdy sam odpowiada za siebie i winien się dobrze uzbroić do walki z życiem, bo tylko silniejszy zwycięża. Lecz co zrobić, jeśli utalentowany artysta jest jednak niedoległą życiowym? A wiadomo, że artyści po największej części nie mają „praktycznego zmysłu życiowego.” Czyż nie można temu zaradzić, aby nie musiał uleżeć w walce z życiem?

Wielokrotnie już pisało się o konieczności zrzeszeń artystycznych w znaczeniu silnej organizacji zawodowej. Wypadek, który opisujemy, powinien wstrząsnąć sumieniem braci artystów. Oto ktoś wola w ich stronę: „Memento!”

I może ta tragiczna śmierć drugiego już z rzędu artysty w tak krótkim przeciągu czasu, wpłynąć zdoła na brać artystyczną że wreszcie zrozumie — to już dodajemy od siebie — siężki, a niezmiernie słuszny zarzut w końcowym ustępie moich „Obrachunków”:

„Winą wszystkich krzyżowań istotnych twórców, jest tchórzliwość, lęk ich samych przed wazzechwładnem panowaniem nie tłum, tylko jego pro wodyrów, brak tej bezwzględnej odwagi, częstokroć aż nadzbyt męczącej, by zgnieść i zmiażdżyć do ogłupiające i tumaniące pośrednictwo między Sztuką, a społeczeństwem.”

Najcięższym grzechem „braci artystycznej w Polsce”, to jest ten fatalny brak poczucia jakiegokolwiek solidarności, łączności braterskiej, przeświadczenia, że każdy, choćby i najmniej upo-



szony artysta, jest zawazę tym, w którym się chociaż malutka iakierka Wieczności objawia.

Zbyt powściągliwy byłem w moim zarzucie: — całkiem inaczej powinienem był go sformułować:

Artyści, którzy w sado! obróśli, dochrapali się „ogólnego uznania“ społeczeństwa, powinni nad tem czuwać, by brać z ich „cechu“, nie tak szczęśliwa, jak oni, z głodu nie zdychała.

Artyści, którzy z tych lub innych powodów doszli do takiego apogeum siły, że zostali uznani przez społeczeństwo niejako za duchowych ambasadorów Polski, winni zważać, by ich „biedniejsza“, jeszcze przez społeczeństwo nie uznana brać w najostateczniejszej nędzy nie konała i aby psy nie potrzebowały jej śmierci oznajmiać.

Widzimy niestety co innego — w Polsce!

Są potężne zwierzki artystów w Niemczech — w Skandynawii ich nie potrzeba, bo tam naród i państwo czuwa nad tem, by jego największe bogactwo, jakim jest artysta, nie zmarniało — tylko w Polsce — och! co za sromota! w Atenach Polski — w Krakowie! Jezus Marja! Szczery, całą duszą Sztuce oddany artysta — zmarł z głodu!

Pewność się obudził, Ty w grobach „zasłużonych“ teraz spoczywający, serdeczny druhu mój, Stanisławie Wyspiański? Pamiętasz może, jak Cię to „zyd“ Natanson przezemnie wybraniany 200-tu guldenami z ciężkiego niedostatku wyratował? Pamiętasz? wtedy, gdyż już te niesłychane wtrąca namalował do katedry Wawelskiej, a które Ci książę Puzyna odrzucił, wtedy, gdyż już przecudownemi mirażami Twych przebogatyń snów kościół Franciszkanów przyozdobił, a pracę Twoją przerwano, bo była za szczytna i zbyt piękna dla „rzeczoznawców“ — wtedy, gdy Twoja cudowna „Legenda“ butwiała na strychu administracji „Życia“, a Ty się zwal nieszkodliwym grafomanem?! wstań, rozwał temi Twojemi hardemi pięściami, którym w Tobie tak kochał, ten Twój ciasny grób „zasłużonych“ — wstań i przytul się do tego, którego śmierć Polsce psy wieścić musiały!

Macieje Wierzbński — nie piszę pro „domo mea“ — ja stoję poza społeczeństwem i od niego nic nie żądam — ale Macieje Wierzbński podnieście teraz Wasz gromowładny głos w obronie tych, którzy w społeczeństwie żyli, dla niego pracowali, nawet pokornie się pod jego jarzmo poddawali!

Cóż tak nagle przycichnęliście — Macieje Wierzbński?! A stać Was było na straszne surmy na „nagie dusze“! A przecież ś. p. Bieńkowski nie był „nagą duszą“ — przeciwnie: wysoko podnosił w górę sztandar społeczeństwa, Ojczyzny i tego wszystkiego, co ubóstwiać, o ile w sado porośnąć zdola!

Kto tu winien? pyta „Nowy Wieki“, z którego wieść o śmierci ś. p. Bieńkowskiego nas doszła.

Przed pięć laty otrzymałem książeczkę Adama Łady Cybulskiego pod tytułem „W bagnie sztuki polskiej“ — czytałem ją wówczas z tysiącem zastrzeżeń — posądzając autora o stronniczość, — dziś ją znowu odczytałem i śmierć Bieńkowskiego rzuciła na nią krwawy snop oślepiającego światła.

Monachium 24. I. 1918.

Stanisław Przybyszewski

## U POETÓW.

Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli romantyzmu francuskiego był obok Wiktora Hugo i Teofila Gautiera bezsprzecznie niezmiernie utalentowany liryk Gérard Labrunie, zwany Gerard de Nerval. Jeden z tych przelotnych arystokratów ducha, w których epoka romantyzmu obfituje, którzy szybko tracili wszelki dystans do życia i przedwzruszenie schodzili

do grobu, tej jedynej straszliwej rzeczywistości — „horrible et unique réalité“, jak Nerval śmierć nazywał.

Urodził się w Paryżu 1808 r. Ojciec jego był lekarzem w wielkiej armii Napoleona i odbył całą wyprawę do Moskwy. Ojciec tego jednakowoż nie uznawał i twierdził, że jest naturalnym synem Napoleona. Chował się samopas „à la diable“, jakby Francuz powiedział, przyglądnął bardzo rychło do literatury niemieckiej, a jego artystycznym debiutem było tłumaczenie Fausta Goethego na język francuski. Bezustanny niepokój gnał go ustawicznie z miejsca na miejsce — podróżował bez przerwy po Włoszech, Niemczech, Holandii, dotarł na Wschód, aż wreszcie po ciężkiej chorobie oknął się w Paryżu i odtąd stworzył szereg dzieł, godnych najlepszych współczesnych twórców, z których najwyższej i dotąd cenniejsze: „Les Filles du Feu“. Związany gorącą i serdeczną przyjaźnią z Teofilem Gautier redagował wraz z nim feljeton dramatyczny w dzienniku „Presse“, zdobywał sobie coraz większe literackie uznanie, a równocześnie w coraz większą nędzę popadał. Majątek, jaki po matce odziedziczył, dawno już sponiał, a z pióra samego piekielnie trudno się utrzymać. Kiedy Baudelaire wyliczył sobie, ile dziesiątek tysięcy wierszy musiałby rocznie napisać, by mózdz od ciężkiej biedy koniec z końcem związać, popadł w ciężki rozstrój nerwowy, a z tej samej przyczyny poszedł Nerval na odnalezienie tej swojej „horrible réalité“. 25-go stycznia 1855 r. o szóstej godzinie rano znaleziono go powieszonoego na żelaznych kratach sztachet, które zamykały wyłot budującego się ulicy. Przyjaciele jego twierdzili, że został zamordowany przez ówczesnych apasów, z którymi Nerval lubił się kumać, w tem rozpaczem przeświadczaniu, że dla niego, wytraconego poza nawias „porządných“, ci nędzarze, włóczędzy, złodzieje to najlepsze towarzystwo, ale list, który krótko przedtem napisał do sekretarza ministerjum oświaty, a w którym błaga o udzielenie mu wsparcia 300-tu franków, bo ta suma całkiem mu wystarczy, by mógł przetrwać całą tę, wyjątkowo ostrą zimę — każe przypuszczać samobójstwo.

Teofil Gautier i Arsène Houssaye kupili mu kawałek ziemi na cmentarzu Père-Lachaise, gdzie dotąd spoczywa ten, którym się chlubi literatura francuska.

I jeszcze innym magnackim nędzarzem chlubi się Francja, to przewspaniałe słońce europejskiej kultury i cywilizacji, a jest nim jeden z najpotężniejszych mocarzy wśród twórców francuskich wszystkich czasów:

Hrabia Filip, August, Mateusz Villiers de l'Isle-Adam. Pochodził z jednej z najstarszych rodzin magnackich Francji, (jeden z jego przodków był Wielkim Mistrzem zakonu Rycerzy Maltańskich), żył przez całe życie w ciężkim niedostatku i dumnej pogardliwej nędzy zdala od całego świata w królewskim przepychu swoich bezniermie bogatych snów, boskich przezeń, wizyjnych wnikań w najgłębszą istotę Bytu, żył w dostojnej nędzy ten dostojny monarcha pozaświatowych piękności, zapoznany przez swoją brać literacką, wymiewany przez motloch, aż go śmierć wyznoliła w przytulisku dla bezdomnych: L'hôpital des freres de Saint-Jean-de-Dieu w sierpniu 1889 r.

Uwagę czytelników naszych zwracamy jak najusilniej na ten wspaniały zjaw-cud w literaturze francuskiej — teraz podczas wojny pisania jego w oryginalne są prawie że niedostępne, istnieje natomiast w doskonałym tłumaczeniu niemieckim wybór jego pism w sześciu tomach: Villiers de l'Isle-Adam, gesammelte Werke, Verlag von Georg Müller, München.

W polskim języku posiadamy niezrównanej piękności tłumaczenia Miriama dramatu Villiersa, pełnego zawrotnych głębin i tajemnych czarów: „Axel“. Ocho, gdybyż nasz Miriam zechciał obdarzyć przekładem powieści „Izis“!

O ile szczęśliwym jest Maurycy Maeterlinck urodzony 1862 r. w Gandawie, czytany przez całą Europę, Amerykę, Australię, laureat Nobla, najrozsławniejszy z wszystkich pisarzy europejskich, entuzjastycznie ceniony i uwielbiany. Nie mamy potrzeby o nim szerzej się rozpisywać, bo i tak o nim niezrównane i głębokie studium Miriama, może najgłębsze, jakie kiedykolwiek się w Polsce o jakimś twórcy pokazało, a powinno się ono znaleźć w rękach tych wszystkich, którzy nie powierzchownie, ale do samego dna chcą się zagłębić w „ciemno-błękitnych winnicach, w których, dojrzewają oszalamiające owoce śmierci”, jak Verhaeren, współczesny i nie mniej wielki twórca flamandzki o dramatach Maeterlincka pisze. W studjum Miriama znajdzie czytelnik jeszcze coś innego: Przejasny i przedziwnie bogaty snop światła, w którym wyszłaka, tak wyszydzana „laurowa ciemność” współczesnej poezji staje się dziwnie jasną i zrozumiałą.

Z ostatnich dzieł M. polecamy gorąco utwór jego „Życie pszczoł” — w bardzo dobrym polskim tłumaczeniu.

Pisze o nim Verhaeren: „Dzieło wspaniałe, stojące ponad wszelką krytyką — wyraz głębokiej filozofii autora. Przemawia ona zarówno do jednostki, jak do tłumu, podnosi i uszlachetnia serca, dalekie od wszelkiego pesymizmu. „La vie des abeilles” jest dziełem, budzącem entuzjazm. Tym, którzy umieją się wsłuchiwać, płynie z książki tej utajony hymn tysięcznych głosów, śpiewających afirmację życia.”

O Stuarcie (Merrill) napiszemy w jednym z przyszłych numerów „Zdroju” w związku z całą tak zwaną „symboliczną” szkołą w Francji.

#### „MASKI.”

„To musi mieć formę artystyczną... formę nieodwołalną, artystyczną, formę nieodwołalnego piękna, przed którym nie ostoi się nic, które jak młot walić będzie i przed którym wszystko poleże.” (Wypiański: Wyzwolenie). Myśl wypowiedziana przez Konrada do Maski — dewiza czasopisma „Maski.”

Krótkie słowa wstępne od redakcji poświęca pismo to gorącemu słowy R. Rollanda: „Z pośród wszystkich narodów duszom wolnym, które cierpią, walczą i zwyciężają.”

Szeroko więc i szczerze zakreślone koło i wierzyć należy, iż „Maski”, pokonawszy pierwsze zapory, rzucane siłą rzeczy w poprzek drogi każdej samorzutnej myśli przez społeczeństwo polskie — ukaza swoje oblicze — że zaliczać się będą do rzędu tych niezliczonych w Polsce czasopism, które torowały nowe, jasne drogi twórczej myśli, wpatrzone w oddalony cel swych zamierzeń, bez oglądania się na aktualność dnia wraz z jej balastem.

#### KSIĄŻKI NADESLANE.

Władysław S. Reymont. *Przysięga (nowele)*. Poznań 1918. Ostoja. — Marcelina Kulikowska. *Z wędrowców po kraju*. Kraków. „Książka.” — Jan Chmielowski. *Poezje*. Włocławek 1918. Księgarnia powszechna.

#### PISMA NADESLANE.

„Maski.” Kraków. Treść zeszytu I.: *Od redakcyj.* — St. Wyspiański: *Zygmunt August.* — K. Bereziński: *Organizator narodowej wyobraźni.* — T. Szantoch: *Pamięć Kazimierza Berezińskiego.* — K. Tetmajer: *Z notat.* — L. Rydel: *Sonet.* — E. Ligocki: *Uśmiech.* — J. Jedlicz: *Przypowieść.* — W. Orkan: *Gdzie Warszawa... Obchody.* — Przegląd: *Z. Pronaszko: O ekspresjonizmie.* — L. Chwistek: *Wielość rzeczywistości w sztuce.* — St. Lubieński: *Muzyka Eżona Petriego.*

Treść zeszytu II.: J. Rundbaken: *Kuźnia duszy.* — Arystofanes: *Pokój* (przełożył B. Butrymowicz). — K. Tetmajer: *Z notat.* — E. Breiter: *Na ruinach Młodej Polski.* — A. Znamkowski: *Nokturn.* — L. Eminowicz: *Gwiazdy spadające.* — Fr. Mirandola: *Wolność.* — Przegląd: *L. Chwistek: Wielość rzeczywistości w sztuce.* — St. Serwin: *August Rodin.*

Treść zeszytu III.: B. Butrymowicz: *Hosanna.* — Arystofanes: *Pokój.* — K. Tetmajer: *Z notat.* — E. Breiter: *Na ruinach Młodej Polski.* — E. Zegadłowicz: *Grobowiec.* — L. Eminowicz: *Bezcenny źródł.* — E. Ligocki: *Eltrene.* — T. Szantoch: *Kobiece.* — F. Hebbel *Tulacz* (przełożył J. Jedlicza). — T. S.: *Postępowy znaucz sztuki.* — St. Mróz: *Boj'owl przypisane.* — Przegląd: *L. Chwistek: Wielość rzeczywistości w sztuce.*

Treść zeszytu IV.: T. Szantoch: *Wychylił się już nawet...* Arystofanes: *Pokój.* — R. Rolland i M. Gorkij: *Listy.* — *Z współczesnej poezji niemieckiej.* — K. Tetmajer: *„Drzewiej.”* — W. Orkan: *O Tetmajerowie i „Skalnym Podhalu.”* — E. Breiter: *Na ruinach Młodej Polski.* — Sowizdrzał: *Z meandrów warszawskich.* — Przegląd: *L. Chwistek: Wielość rzeczywistości w sztuce.* — Al. Zelwerowicz: *Z zagadnień teatru.*

*Kultura Polski.* Kraków. Treść zeszytu III.: L. N.: *Stanowienie o Polsce.* — Leon Wasilewski: *Kwestya litewska a sprawa litwy.* — W. Baranowski: *Prasa Szwajcaryi francuskiej o sprawach polskich.* — Kl. Sch.: *O sprawność organizacji.* *Z życia bieżącego.* *Z wydawnictw.* Luźne notatki.

Treść zeszytu IV.: *W sprawie rozwiązania kwestyi polskoukraińskiej.* — Wacław Lipiński: *Bierność narodowa.* — Bohdan Straszewicz: *List otwarty do p. Kucharzewskiego.* — Dr. J. Ptasznik: *W sprawie pomników polskiej kultury.* — Głosy. *Z wydawnictw.* Luźne notatki.

#### ERRATA:

W zeszycie 2-gim na str. 46 w „Opowieści rybałta” w drugim łamie w jedenastym wersecie zamiast: *chorób* ma być *chorów*.

Na wszystkie sprawy dotyczące redakcji „Zdroju” w obrębie monarchii austriacko-węgierskiej włącznie Galicji legitymowaliśmy p. prof. Jakóba Geszwindę w Wiedniu, (Hauptstr. 147), na co zwracamy przedewszystkiem uwagę autorów austriackiego zaboru.

Redakcja.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji na Austro-Węgry: Prof. Jakób Geszwind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu. Wszelkie prawa autorskie, przedruk i reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen. Odbito w tłoczn „Pracy” w Poznaniu.

# „Ostoja“ Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, plac Wilhelmowski 17

Przybyszewskiego: Szlakiem duszy polskiej  
wyczerpane — Nowy nakład ukaze się w końcu maja

Chrzanowskiego: Z wybrzeża i o wybrzeżu  
na wyczerpaniu — Cena . . . . . 2 mk.

W. Gomulickiego: Pamiątki Kościuszkowskie  
na wyczerpaniu — Cena . . . . . mk. 4.80

Poleca się:

KASPROWICZA:	Sita . . . . .	5.20
NOWACZYŃSKIEGO:	Pułaski w Ameryce . . . . .	6.50
TYCA:	Facecje z dawnej Polski . . . . .	3.60
SZYDELSKIEGO:	Kult ogniska domowego i przodków . . . . .	1. —
KONCZYŃSKIEGO:	Raj odzyskany . . . . .	5.40
PERZYŃSKIEGO:	Opowieści niezwykle . . . . .	10. —

Skład główny na Król. Polskie w Warszawie Gebethner & Wolff. Skład główny na Galicję w Krakowie Gebethner i Spółka.

Stare

## wina węgierskie

szlachetne krescencje magnackie i nadworne

w 1/2 butelkach i w 1/2 gąsiorkach.

- |                     |     |                     |
|---------------------|-----|---------------------|
| 1) rocznik 1848 nr. | 20. | Stodki Tokaj        |
| 2) „ 1863 „         | 17. | Stary Tokaj nadw.   |
| 3) „ 1866 „         | 18. | Słodkawy Tokaj      |
| 4) „ 1868 „         | 20a | Lekki słodki Tokaj. |
| 5) „ 1876 „         | 3.  | Stary Tokaj nadw.   |
| 6) „ 1876 „         | 14. | Stary Tokaj nadw.   |
| 7) „ 1880 „         | 22. | Stary lekki Tokaj   |
| 8) „ 1883 „         | 19. | Stary Tokaj         |
| 9) „ 1889 „         | 8.  | Stary Tokaj.        |
| 10) „ 1901 „        | 10. | Stary lekki Tokaj   |
| 11) „ — „           | 4.  | Stary słodki Tokaj  |

### B. Kasprowicz

w Gnieźnie.

## Nowości zimowe

Kostiumy . . . . .	od 30 do	550 M.
Spódnice . . . . .	15 „	190 „
Ulstry . . . . .	38 „	360 „
Paletoty aksam. i plusz. „	90 „	1200 „
Suknie . . . . .	60 „	300 „
Bluzki . . . . .	18 „	100 „
Halki . . . . .	12 „	80 „

Płaszczki futrzane, Futra  
sportowe od 200 do 2000 M.  
Garnitury futrzane  
od 60 do 1400 M.

### M. MALINOWSKI

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich  
Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

# S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

<b>Dla Pań</b>		<b>Dla dzieci</b>		<b>Dla panów</b>	
Bluzki Gorsety Halki	Pończochy Rękawiczki Kotnierzyki	Sukienki Trykoty Fartuszki	Torebki Kotnierzyki Kapelusze	Skarpety Rękawiczki Krawaty	Szelki Trykoty Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

## W. MIZGALSKI Poznań - Bazar

Magazyn bławatów, konfekcyi damskiej i futer  
poleca na sezon zimowy

Gotowe futra  
„ garnitury futrzane  
„ płaszcze  
„ kostyumy  
„ suknie  
„ szlafroczyki  
„ bluzki  
„ czapki sealowe

### Własne pracownie

skunksy, seal bisam, opossum, bobry, nutria,  
karakuty, zrebce, popiellice, bielistki, chinchilla,  
gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy  
białe, patagońskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze

L'Eroica

Dir. E. Cozzani

## La Polonia

Wydanie wytwornie ilustrowane i barwnymi drzeworytami przyozdobione.

**Cena 25 mk.**

Do nabycia w „Ostoi.“ Poznań, plac Wilhelmowski 17.

## Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,  
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

**Karol Ecke** w Poznaniu, ul. Wiktorji 19  
założ. 1845

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

